Nr. 278. Lwów — Wtorek dnia 5 Grudnia. R[ok] 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenumeraty ... na prowincyi. Miesięczna ... Kwartalnie ... Półrocznie złr. 6. Ze zmianą adresu ... Rocznie „ 12. Prenumeratę ... się 20 ct. Do przesyłanej w kopercie ... przekazami dodawać 5 ct. ... należy

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia strona na czwartej. Wiersz petitowy albo jego ... W „Drobnych ogłoszeniach“ ... słowo drukiem petitowym każde 10 ct. ... 3 „ Korespondencye prywatne ... 4 „ słowo drukiem petitowym każde. Nadesłane na trzeciej ... 4 ... Reklamy ... Nekrologi ... 20 „ Ogłoszenia do „Przeglądu“ ... 20 „ ... BIURO DZIENNIKÓW ul. Karola ...

Dziś: św. Sabby Op. Amfyłakija
Jutro: św. Mikołaja B. Ekateryny Pr.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 40
Zachód „ „ 4 „ —

Długość dnia g. 8 m. 20
Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 grudnia.

Rząd pruski postanowił uczynić drugi stanowczy krok ku naprawie stosunków w Poznańskiem. Za pierwszy taki krok powszechnie jest uważane wyniesienie Polaka, ks. Stablewskiego, na stanowisko Arcybiskupa Wielkopolski, co też rzeczywiście bardzo dodatnio wpłynęło na położenie tej prowincyi. Późniejsze korzystne dla nas rozporządzenia były stosunkowo mniejszej wartości; słusznie też nazywano je „ustępstwami“, bo rzeczywiście, świadczyły tylko o pewnej życzliwości dla nas, ale systemu bismarkowskiego zasadniczo nie usuwały. Do takich rozporządzeń należą reskrypty o nadobowiązkowej nauce czytania i pisania po polsku, o języku urzędów parafialnych, o przyjmowaniu do pułków wielkopolskich oficerów Polaków, wreszcie o tem, że nauczyciele ludowi, przeniesieni za czasów bismarkowskich do okolic niemieckich, mogą wrócić na posady w stronach rodzinnych. Teraz dopiero przygotowuje się drugi krok, zasadniczo sprzeczny z bismarkowskim systemem. Dzienniki niemieckie, wydawane w Poznaniu i utrzymujące bliskie stosunki z miejscowemi dykasteryami, doniosły, o czem już wiemy z telegramu, że nauka języka polskiego wejdzie od Wielkanocy do planu naukowego jako przedmiot obowiązkowy. Tę samą wiadomość podają dzienniki berlińskie z tym dodatkiem, że ministeryum oświaty już wysłało o tem urzędowe zawiadomienie do ks. arcybiskupa Stablewskiego, dając przez to do zrozumienia, że ta nowa dyspozycya jest rezultatem jego zabiegów. Skądinąd wiemy, że jego starania były rzeczywiście bardzo usilne i przekonywujące, jemu tedy społeczeństwo wielkopolskie zawdzięcza ten sukces, którego wielką wartość należycie oceni i rozumnem postępowaniem w obranym kierunku zachęci rząd do dalszych czynów, usuwających system bismarkowski. Pozostaje jeszcze równouprawnienie naszego języka w życiu publicznem i przekształcenie komisyi kolonizacyjnej z instrumentu germanizacyjnego w instrument ściśle ekonomiczny. Znowu będziemy musieli czekać na to cierpliwie, albowiem mamelucy Bismarka poruszą wszystkie ciemne potęgi przeciwko nam i rządowi, chcącemu być sprawiedliwym. Zachowanie się Koła Polskiego w Berlinie we wszystkich kwestyach, żywo zajmujących samego cesarza, będzie miało ogromnie ważne znaczenie, a znowu Koło powinno mieć doskonałe oparcie się o opinię kraju, z czego wynika dla Wielkopolan, jako pierwszy obowiązek, stłumić warcholskie zapędy partyi „Orędownikowej.“

Na życie ks. Ferdynanda bułgarskiego znowu w Rosyi uknuto spisek. Jakiś Iwanów, Bułgar z Ruszczuka, był przed paru laty adjutantem w wojsku bułgarskiem, lecz wykradłszy jakiemuś żydowi żonę, uciekł z nią do Rosyi, gdzie go zaraz przyjęto do wojska w stopniu porucznika. Tam on wszedł w stosunki z szefami emigracyi bułgarskiej Benderewem i Grujewem, którzy choć są pułkownikami rosyjskimi, jednak zajmują się wyłącznie urządzaniem zamachów na wybitnych w Bułgaryi ludzi. Oni ułożyli spisek, którego ofiarą miał paść Stambułów, padł zaś przez pomyłkę zbójców minister Bełczew; oni następnie zorganizowali spisek na życie ks. Ferdynanda, jednakże spiskowcy byli w porę wykryci i główny z nich, major Panica, był rozstrzelany; oni w końcu nastawili zbójców na bułgarskiego agenta dyplomatycznego w Konstantynopolu Wulkowicza. Po tym ostatnim morderstwie zapanował spokój; zaczęto w Europie przypuszczać, że tak zwana „nieurzędowa Rosya“ wyrzekła się spisków i zamachów, wykonywanych przez najętych zbójów. Tymczasem oto znowu przygotowano taki zamach. Miał on być wykonany podczas pogrzebu ks. Aleksandra Battenberga. Iwanów, otrzymawszy w Rosyi sporo pieniędzy, doskonały rewolwer i paszport, wyjechał z Odesy do Konstantynopola, skąd udał się do rumelijskiej stolicy, aby tam zamordować ks. Ferdynanda podczas zwyczajnej przechadzki jego po miejskim parku. Ale ks. Ferdynand był niezdrów, z domu nie wychodził, a załatwiwszy sprawy państwowe, opuścił Filipopol przed naznaczonym terminem. Tymczasem nadeszła do Filipopola wiadomość, że książę będzie szedł za trumną Aleksandra Battenberga i przed spuszczeniem jej do grobu wygłosi mowę. Mnóstwo osób z całego kraju wyruszyło do Sofii, pojechał więc i Iwanów. Na ostatniej stacyi kolejowej przed Sofią poznali go ludzie, jadący na pogrzeb z Ruszczuka i jako dezertera chcieli aresztować. On jednak uciekł. Chłopi rzucili się za nim w pogoń i chociaż strzelał do nich kilka razy, zdołali go ująć i oddać żandarmom. Sprawę tę postanowiono zbadać dopiero po pogrzebie ks. Aleksandra. Iwanów, przy którym znaleziono dużo pieniędzy i liczną korespondencyę z Grujewem i Benderewem, nie mógł się długo zapierać: przyznał się, że przybył z Rosyi jedynie dlatego, aby zastrzelić księcia.

Oczywiście, surowy Stambułów nie będzie robił z nim ceremonii. Trzeba tu jednak dodać, że ów wypadek bardzo się przydał rządowi pod jednym względem. Oto, w sobraniu jest nieliczna i bardzo przyzwoita opozycya, złożona z tak porządnych ludzi jak Naczowicz, Strański, Radosławów, Tonczew i paru innych. Wystąpili oni przeciw żelaznym rządom Stambułowa, podobnym do dyktatorskich, chociaż konstytucya nie jest zawieszona. Tak n. p. Stambułów nieraz bez śledztwa i sądu internuje niektórych ludzi zdala od stolicy, a rewizye domowe zarządza bez uchwały sądowej. Otóż przeciwko temu wystąpiła opozycya. Mówcy jej wyraźnie oświadczyli, że bardzo wysoko cenią Stambułowa i pragną, aby on długo jeszcze tak dzielnie rządził krajem, jednakże nie mogą się zgodzić na jego despotyzm względem ludzi, przeciwko którym nie wystąpiono sądownie. Na to Stambułów odparł, że wszystkie swe rozporządzenia, internujące różnych ludzi, gotów jest poddać zbadaniu sobrania, sam zaś ani na włos nie zmieni postępowania, bo tylko w ten sposób może zapewnić krajowi spokój, albowiem dużo jest jeszcze takich żywiołów, z którymi pomyślnie walczyć można tylko taką bezwzględną metodą. I tu właśnie wspomniał o zamachu, przygotowanym przez Iwanowa. Rezultat dyskusyi był ten, że dwóch członków sobrania nie głosowało, a wszyscy inni jednogłośnie dali Stambułowowi wotum zaufania.

Parlament niemiecki zniósł banicyę OO. Jezuitów. Dyskusya była krótka i ciekawa pod tym względem, że zwolennicy ustawy wyjątkowej nie mieli odwagi wystąpić w jej obronie: żaden z nich nie przemawiał. Natomiast odezwały się głosy nadzwyczaj pochlebne dla Jezuitów. Bawarski narodowiec Sigl nazwał ich wzorowymi ludźmi, kapłanami pełnymi poświęcenia, dzielnymi uczonymi i najlepszymi obywatelami, którym z zamkniętymi oczami możnaby powierzyć nawet sprawy podatkowe, które byłyby przez nich rozwikłane ku powszechnemu zadowoleniu. Kiedy to Sigl powiedział, liberałowie śmiać się zaczęli, a wtedy on rzekł: „Prawda, wybyście nie byli zadowolnieni, muszę to przyznać“. W imieniu Koła polskiego oświadczył Radziwiłł, że spokój religijny wymaga zniesienia bannicyi. Socyaliści oznajmili, że są przeciwnikami wszelkich wyjątkowych ustaw, a Jezuitów szanują jako ludzi silnych przekonań. Na tem samem stanowisku stanęli postępowcy richterowscy. Przeciw zniesieniu bannicyi głosowali tylko liberałowie i większość junkrów, w ogóle jednak głosy rozłożyły się lepiej, niż się spodziewano, liczono mianowicie, że będzie najwięcej 6 do 10-ciu głosów większości przychylnej zniesieniu bannicyi, tymczasem za zniesieniem jej oświadczyło się 173 posłów, a za zatrzymaniem ustawy antyjezuickiej 136-ciu. Teraz wszystko zależy od uchwały Rady Związkowej, która jest rodzajem izby wyższej parlamentu niemieckiego. Zdaje się jednak, że ta Rada opierać się nie będzie, bo właśnie notują dzienniki berlińskie, że domy niemieckich Jezuitów już się przygotowują do powrotu do ojczyzny, czegoby nie czyniły, gdyby poufne informacye z Berlina nie dawały im pewnej nadziei.

Koalicya a opozycya słowiańska.

Piszą nam z Wiednia 2 grudnia:

Większość koalicyjna wczoraj pomyślnie się wywiązała z pierwszego swego zadania, uchwalenia nowej ustawy o obronie krajowej. W innych okolicznościach, gdyby nie była powstała stała większość parlamentarna, ustawa taka byłaby wymagała nader długich układów rządu z pojedyńczemi stronnictwami, a nie jest nawet rzeczą pewną, czy te układy byłyby ostatecznie doprowadziły. Owszem, bardzo łatwo domyśleć się, że przy stosunkach, które w Izbie poselskiej zapanowały po 10 października, niemiecka lewica, w zgodzie z zasadniczo opozycyjnymi grupami, byłaby zdołała zadać gabinetowi na tem polu klęskę. W najlepszym razie trzeba było przygotować się na długie namiętne rozprawy i zmarnowanie kilku tygodni drogiego czasu. Dzięki powstaniu koalicyi, trzy posiedzenia Izby wystarczyły na uchwalenie tej ważnej ustawy.

Po stronie większości zaznaczyła się w tej kwestyi wzorowa solidarność. Ani jeden z członków trzech sprzymierzonych klubów nie głosował przeciwko ustawie. Jeżeli niektórzy posłowie tyrolscy wstrzymali się od głosowania, tłómaczy się to dostatecznie okolicznością, że ustawa o obronie krajowej nie odnosi się do Tyrolu, którego sejm uchwali specyalnie zastosowane do wyjątkowych potrzeb tej prowincyi przepisy. Z tej burzy, która nibyto powstała wśród frakcyi niemiecko-katolickiej, w rozprawach Izby nie dostrzegało się żadnego śladu. Przeciwnie poseł Ebenhoch, którego przedstawiano ogłoszono jako głównego przeciwnika ustawy, w depeszy przesłanej „Vaterlandowi“, oświadcza dziś, że gdyby był się znajdował w Wiedniu, byłby jak wszyscy inni członkowie klubu hr. Hohenwarta głosował za ustawą. Wprawdzie większość przy głosowaniu nad przejściem do rozpraw nad pojedyńczemi artykułami ustawy wynosiła tylko 171 głosów, a wczoraj przy głosowaniu nad najważniejszym §. 12 nawet tylko 122 głosów, gdy oczywiście koalicya, nie licząc drobnych frakcyi Coroniniego etc., które zwykle z nią głosują, rozporządza około 230 głosami. Jednakże owa abstynencya nie wynikła z żadnych politycznych prądów, nie oznacza wstrętu przeciwko gabinetowi koalicyjnemu, lecz pominąwszy influencyę, tłumaczy się po prostu pewnością zwycięstwa nad opozycyą, która w pierwszem głosowaniu zdobyła się jedynie na 61 głosów, w drugiem nawet tylko na 37.

W ogóle dla frakcyi opozycyjnych ta pierwsza walna próba nie wypadła wcale świetnie. Nie tylko koalicya niezadowolnionych nie dopisała, gdyż frakcya niemiecko-narodowa głosowała za ustawą, ale nadto słowiański zastęp wyraźnie wszedł na drogi, na których może dojść tylko do zupełnego moralnego i politycznego upadku. Rozwinęła bowiem z szczerością, zbliżoną do politycznego samobójstwa, sztandar russofilski. Radykalny poseł-redaktor ks. Bianchini, chorwacki Stojałowski, tudzież dr. Vaszaty z przykładną bezwzględnością odsłaniali ostatnie cele swych dążności. Mianowicie dr. Vaszaty uczynił to ze szorstkością i z tą wyraźną nienawiścią do Polaków, która zupełnie wyjaśnia, co sądzić o „słowiańskich“ uczuciach tych panów. Mniejsza o to, że ten Moskal w przebraniu czeskiem za pomocą cytatu z niemieckiego dzieła usiłował znieważyć pamięć Jana Sobieskiego. Sława oswobodziciela Wiednia takim wspaniałym blaskiem jaśnieje na firmamencie dziejów przeszłych i przyszłych, że zamachy takiego p. Vaszatego zasługują tylko na pogardę. Natomiast podnieść wypada systematyczne usiłowania młodoczeskiego trybuna, wmawiania w świat, że stosunki rosyjskie są o wiele dogodniejsze i moralniejsze, niż austryackie.

W tym celu p. Vaszaty nie wzdrygał się przed najrzeczywistszemi kłamstwami, gdy na trafne wywody referenta Popowskiego o ucisku, jakiego język polski doznaje w Rosyi, odpowiedział, że — w Pradze nie wolno mówić po czesku! Jak wiadomo, w Pradze, dzięki teroryzmowi przyjaciół p. Vaszatego, wydarzył się już wypadek, że strzelano z rewolweru do przechodniów jedynie dla tego, ponieważ.. rozmawiali po niemiecku! O tem natomiast, aby tam władze zabraniały rozmawiać po czesku, nie tylko nikt nigdy nie słyszał, ale nadto podobny zakaz w Austryi *a priori* jest bezwzględnie niemożebny. Tylko istny fanatyzm russofilski i pewien *daltonizm* polityczny sprawia, że młodoczesi nie uznawają tej zasadniczej różnicy pomiędzy rządowym systemem austryackim a rosyjskim. W parlamencie austryackim wygłaszają szumny frazes o okrutnej niesprawiedliwości odmawiania ludności powszechnego głosowania, gdy istnieje obowiązek powszechnej służby wojskowej. Za zaś Rosya, pomimo tej powszechnej służby, nie tylko nie przyswoiła sobie powszechnego głosowania, lecz nie posiada wcale parlamentu, choćby opartego na prawie wyborczem warsw uprzywilejowanych, to wcale tym panom nie przeszkadza wysławiać jej wrzekomo idealnie doskonałych instytucyi.

Oczywiście z takiem uprzedzeniem wszelka dyskusya staje się niemożliwą. Moglibyśmy jednak znaleść i między nami sentymentalnych polityków, którzy sobie zadają pytanie, czy czasem dzisiejsza koalicya nie przyczynia się do wzmocnienia prądu russofilskiego śród tych frakcyi słowiańskich? I czy właśnie dla tego koalicya koalicyjna nie zasługuje na nagane?

W obec podobnych rozumowań i obaw trzeba ściśle uwzględnić realne fakta. Koło polskie przez 13 lat uczciwie i wytrwale popierało system, który pragnął zadowolnić narodowości słowiańskie. Dzięki naszemu wytrwałemu poparciu, położenie Czechów pomiędzy r. 1880 a 1890 tak znacznie się polepszyło, jak tego nawet najgorętsi patryoci czescy nie spodziewali się przed nastaniem gabinetu hr. Taaffego i nowej autonomicznej większości w parlamencie. Otrzymali czeską wszechnicę, akademię umiejętności, przewagę w sejmie krajowym, w którym przedtem panowało stronnictwo niemieckie, przewagę w kilku izbach handlowych, cały szereg szkół średnich, przychylnych namiestników, ministra w gabinecie i t. d. Co do Słoweńców — zdobycze narodowe wprawdzie nie są tak wybitne, jak czeskie, ale oni sami raz po raz otwarcie przyznają, że mianowicie na polu szkoły i sądownictwa za rządów hr. Taaffego uczynili ogromne postępy. Wreszcie co do Dalmatyńców, którzy teraz stają w pierwszym szeregu opozycyi russofilskiej, warto przypomnieć, ze aż do r. 1870 w sejmie dalmackim przewagę posiadali Włosi. Dopiero za rządów hr. Alfreda Potockiego przewaga ta upadła, Chorwaci otrzymali większość w sejmie i wydziale krajowym, później zdobyli najważniejsze ustępstwa językowe, tak [...] obecnie żywioł włoski, panujący tam od kil[ku] wieków, stracił wszelkie znaczenie polityczn[e] [...] za rządów Taaffego na polu ekonomicznem [...] koleje żelazne i t. d.) doznawali najgorliwsz[ej] opieki. To wszystko umożebniło jedynie [pop]arcie Koła polskiego.

Chociaż za to wszystko n[ie] domagamy się wdzięczności, mogliśmy jedn[ak] przypuścić, nawet we własnym interesie t[ych] ludów słowiańskich, że w miarę znaczneg[o] poprawienia się ich położenia, osłabną nurt[ujące] pomiędzy niemi od dawna prądy russofilskie. [...] Tymczasem przeciwnie wzmagały się one. [Dr.] Vaszaty aż do r. 1885 zasiadał w klubie staro[czes]kim. Już wtedy w Radzie państwa i na lud[owy]ch zebraniach w Czechach wygłaszał te sa[me] russofilskie przekonania, którymi się pop[isuje] dzisiaj. Ruch młodoczeski od r. 1880 wzm[agał] się pod sztandarem wygórowanego russof[ilizmu i] niechęci do Polaków, popierających sta[rocze]chów w Radzie państwa. Powtarzam, od [r.] 1880, nie zaś od r. 1890, bo ugoda czesko-niemiecka, której zresztą nie zawinili Polacy, nie jest początkiem tego ruchu, lecz tylko jednym z ostatnich protestów, których się czepiał. Z dzienników czeskich i mów poselskich pomiędzy r. 1880 a 1890 możnaby zestawić grube tomy samych uwielbiań Rosyi i namiętnych, często nieprzyzwoitych napaści na Polaków. Tak samo pomiędzy Słoweńcami, pomimo polityki ugodowej, nieustannie się wzmagał prąd russofilski, podniecany mianowicie przez radykalnego posła sejmu lublańskiego a generalnego reprezentanta praskiego banku „Slavii“ Hribara, jednakże dotąd konserwatywni Słoweńcy, którzy pozostali w klubie hr. Hohenwarta, wytrwalej opierali się temu prądowi, niż staroczesi. Chorwat ks. Bianchini dopiero w r. 1891 wstąpił do parlamentu. Ale przedtem od 15 lat w swym *Narodnim liście* propagował te zasady russofilskie i radykalne, które teraz na przemian po niemiecku lub chorwacku wygłasza w Izbie poselskiej.

Słowem, jest to niezbitym faktem, że prądy russofilskie nie pojawiły się pomiędzy temi ludami słowiańskiemi dopiero w r. 1891, a tem mniej dopiero po zawarciu teraźniejszej koalicyi stronnictw umiarkowanych, lecz wzmagały się nieustannie od dawna, pomimo ugodowej polityki hr. Taaffego. Z tego niezbitego faktu nie wyprowadzamy bynajmniej wniosku, aby należało odmawiać tym ludom przynależnych praw i swobód; owszem sądzimy, że w miarę jak się one przekonają, że koalicya nie zagraża ich prawom, a opiekuje się należycie ich materyalnymi interesami, odwrócą się od trybunów tego kalibru, co dr. Vaszaty lub ks. Bianchini. Tymczasem zaś wierzymy mocno w pożyteczność hasła „Otwartość i prawda,“ które gabinet ks. Windischgraetza wygłosił w swym programie. Im bezwzględniej trybunowie russofilscy wypowiedzą w Radzie państwa swoje przekonania i odkryją ostatnie cele swych dążności, tem wyraźniej wykaże się zupełna niemoc tych prądów i tem prędzej musi nastać stanowcza *itio in partes* tych, którzy z nami bronią żywotnych interesów monarchii, a tych, którzy wyżej stawiają nie swój interes narodowy, lecz interes Rosyi.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 2 grudnia.

(*i.*). Pomimo żarliwej agitacyi młodoczechów, sprawa utworzenia wielkiego opozycyjnego klubu słowiańskiego postępuje bardzo leniwo naprzód. Przed dwoma dniami odbyła się w tej sprawie narada delegatów rozmaitych stronnictw. Udział w obradach wzięli: z klubu młodoczeskiego pp. Herold, Engel i Kaizl, imieniem morawskich staroczechów pp. Fanderlik i Zaczek, imieniem secessyonistów klubu Hohenwarta pp. Klaicz i Ferjanczicze, a z pomiędzy

---

17)

Indye Wschodnie.

Szkice z podróży w roku 1891.

Przez *Romana Ujejskiego*.

(Ciąg dalszy).

Piątego dnia pobytu mojego, uwijali się koło hotelu nieznani ludzie, stało mnóstwo koni i mułów jucznych. W całym Dardżilingu ruch zapanował, latali gońce od gubernatora, uwijali się konno oficerowie angielscy w swych czerwonych mundurach, rozgrywał się właśnie ważny akt zgody o chińską posiadłość. Przybył właśnie z Tybetu tą karawaną rozjemczy sędzia, załagodziwszy spór długoletni, a z nim przyjechali Chińczycy wysłani od władcy Tybetu dla udokumentowania tej zgody.

Na drugi dzień wspaniały bal u gubernatora, goszczenie chińskich posłów, a w hotelu naszym dnia następnego podejmowało grono przyjaciół dyplomatę, który przejednał Tybetanów i Peking a Sikkim oddał Anglikom.

Ciekawa to postać była, jak mi dokładnie objaśniał nowy mój przyjaciel, oficer angielski, mówiący trochę po francusku i po niemiecku. Specyalnością tego Anglika było załatwianie wszystkich sporów granicznych i politycznych pomiędzy różnemi mocarstwami świata. Szkoda że zapomniałem jego nazwiska, które pewnie jest dobrze znane w całej Europie. Mówił mi oficer, że chciałby mieć choć cząstkę tych darów, jakie on przywiózł z Tybetu. Widziałem sam w dniu jego przybycia, jak z kilkunastu mułów ściągano ciężkie juki.

Chińczycy zabawili dni jeszcze kilka w Dardżilingu na swoich małych „huculach“ jeździli po spacerach, wstępowali do sklepów wszystkich, ciekawie przypatrując się towarom z Europy i naszym twarzom, które zdaje się nie często musieli widywać w Tybecie.

Dardżiling roił się Anglikami, hotele wszystkie były zajęte, a ścieżki i spacery przepełnione. Wielu uganiało na doskonałych kucach krajowej rasy, zaś „ladies“ noszone były na krzesłach, które tu są bardzo w zwyczaju i zajmują miejsce ekwipażów. Trzech Sikkimczyków udrapowanych liberyjnie szalami, niosą to krzesło przykryte zawsze błamem mniej lub więcej kosztownego futra. Jedynie dwór gubernatora ma w służbie Hindusów z Kalkuty, w czerwonych, złotem szamerowanych żupanach.

Codziennie o godzinie czwartej po południu na głównym spacerze grała muzyka wojskowa cipajów, a grała bardzo dobrze, tak, że z całą przyjemnością słuchałem znanych naszych oper lub walców Straussa. Tak samo jak w Kalkucie w Eden-garden, kończył się zawsze koncert angielskim narodowym hymnem. Wszyscy schodzili się wtedy tutaj, znoszono w krzesłach piękne Angielki, zjeżdżali na kucach dżentelmeni, bawiono się, rozmawiano, a po skończonej muzyce rozchodzono na obiady. Lud miejscowy gromadził się także i w zabawny sposób grywał kamykami na ziemi partye pierwotnych widocznie szachów. Wystarczała im wyrysowana na piasku szachownica, kilka różnej wielkości i koloru kamieni wyciągano z kieszeni i partya była gotowa. Grupa widzów rozkłada się zawsze na około i śledziła z zajęciem każde pociągnienie.

W dotychczasowej mojej przeprawie przez Indye, nie wiele słyszałem śpiewu, dającego świadectwo muzykalności ludu. Często piszczałką i bębnem raziły uszy grajki weselne, lecz żadnej melodyi choćby najzwyklejszej nie mogłem uchwycić. I tutaj codziennie prawie dochodziły z chat rozrzuconych głosy muzyki — wesela musiały być często — lecz jak wszędzie, z dzikim piskiem piszczałki i biciem w bęben. Raz jeden tylko usłyszałem śpiew, niezwykle melodyjny i oryginalny: Dwóch chłopaków kilkunastoletnich, pasąc kozy na stoku góry, w oddali od siebie, śpiewało rodzaj dyalogu; pytał jeden, odpowiadał mu drugi. Improwizacyą to nie było, gdyż dochodziły mnie jakieś wyrazy, ale tyle tam było uczucia, taka smętna jakaś żałość, a przedewszystkiem tak piękna i harmonijnie złożona całość, że długo słuchałem, żałując niezmiernie, iż nie potrafiłem zachować w pamięci tej oryginalnej himalajskiej melodyi.

Dnie przeplatane były często deszczem i mgłami, lub czasem chmury tak nas objęły, że na kilka kroków nic widać nie było. Czasem znów przetarło się niebo, zaświeciło słońce, odsłoniły się dalsze widoki i jednego popołudnia ukazały się znów, lecz już poraz ostatni, majestatyczne, lodowe szczyty Kiczenjungi. Wylęgnął wtedy cały Dardżiling na najbardziej wysunięty cypl, skąd widok przedstawił się nieporównany. Od stóp naszych spadała stroma zbocz góry; zielone trawniki pokrywały ją z początku niżej, w łagodniejszym już klimacie, gdyż przez tę połać na kilka tysięcy stóp w głąb spadającą, przechodziły różne strefy, rysowały się szachownicą i ciemną zielenią plantacye herbaty, błękitniejąc oddaleniem coraz bardziej.

Jeszcze niżej przeglądały wierzchołkami drzew lasy dziewicze, ujęte u swego podnóża w mgłę białą, która zakrywała już sobą wszystko dalsze i niższe. Z przeciwnej strony wznosiły się nowe kondygnacye górskie, przechodząc przez wszystkie kolory oddali; ciągnęły się przez olbrzymie przestrzenie, bledniąc coraz bardziej i zacierając kontury swoje. Nad niemi w słońca blasku jaśniała królowa lodów. A że wszystko co piękne i miłe przemija prędzej, niżbyśmy tego pragnęli, więc gromadzić się zaczęły mgły lekkie, jak stada łabędzi, tworzyły się chmury pod nami, podnosiły w górę, gęstniały, zakryły obraz i deszczem rzęsistym rozprószyły patrzących.

Z Kalkuty przyszły wieści o pierwszym spadłym deszczu, a u nas codziennie już rozpoczęły chmury swoje panowanie. Dardżiling wybierał się w drogę. Czekano jeszcze drugiego deszczu w Indyach, poczem na pewne nastąpić miały mussony słotne, trwające przez kilka tygodni. W Dardżilingu pobyt trudniejszym się stawał, nawet niemożliwym, za to Indye ochłodzone słotami, pozwalały na powrót bezpieczny. Przyszła depesza o powtórnym deszczu w Kalkucie, zbierał się w drogę dwór gubernatora, dworzec był w oblężeniu, powracali wszyscy.

VII.

Powrót z Dardżilingu. Kalkuta. Morzem do Ceylonu. Madras. Pondiszeri.

Długi szereg wagoników spadał ciągle z wierzchołków górskich. Zatrzymywaliśmy się przy stacyjkach na wypoczynki, „lanchy“, i podwieczorki. W miarę zniżania się, czuliśmy bardzo dokładnie podnoszenie się temperatury tak, że gdy nad wieczorem stanęliśmy u podnóża Himalajów, już nam było parno i duszno. Gubernator z familią od samego Dardżilingu dążył za nami w swoim wagonie. Pochyłość trasy jest ciągła, tak, że tylko hamulec regulował bieg wagonu, przyspieszany ciągle własnym ciężarem. W cudownej drodze musieli oni często przystawać, gdyż czekaliśmy na nich u podnóża więcej jak godzinę, a gdy w końcu nadjechali, piękne panie miały ze sobą całą kolekcyę piękniejszych od siebie begonii i kwiatów. Przyczepiono wagon i podążyliśmy do Siliguri na późny wieczorny obiad.

Tutaj czekał na nas pociąg tak długi, jakiego dotąd nigdzie nie spotkałem. Szereg białych wagonów zajmywał środek pociągu i co się zbliżę do którego z mojemi rzeczami, objaśnia czerwony złotem szamerowany Hindus: że to gubernatora. Mniejsza zresztą, gdyby dla niego były te wagony, lecz każdy z jego świty miał osobny dla siebie. Bodaj to być gubernatorem w Indyach — lub przynajmniej członkiem jego świty!

Pamiętano jednak i o nas; każdy zajął całą kanapkę dla siebie, dodawano ciągle nowe wagony, by wszystkich jak należy pomieścić. Dwie lokomotywy sapiąc ciężko pociągnęły drużynę naszą w noc czarną, w gęste zarośla palm i bambusów, w ciemne chmury pokrywające teraz kraj cały.

Żadna gwiazda przedrzeć się nie mogła przez grube pokrywy, przygnębiająca duszność ciężyła płucom, przyzwyczajonym już do rozkosznego klimatu wyżyn. Przez noc całą przyświecały naszej drodze świętojańskie muszki w takiej ilości, jakby kto z góry brylanty rozsypywał; w bujnych splotach egzotycznej flory wyglądały te światełka jak dusze pokutujące. Powietrze całe drgało tym migotliwym blaskiem, a gdy kilka muszek naraz wleciało przez otwarte okno do zaciemnionego wagonu, rozjaśniały go, jak elektryczne lampki. Męczącem nawet było dla oka patrzeć w tę drgającą światełkami przestrzeń bez końca. Zjawisko było nadzwyczajne i nigdzie już później nie widziane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[illegible] słów serbsko-kroackich pp. Spin[illegible] Z Rusinów nikt nie przyszedł, nadesłał tylko pismo, w którem p. Romańczuk [illegible] klub ruski na najbliższem posiedzeniu [illegible] decyzyę co do przystąpienia do koalicyi słowiańskiej. Decyzya ta jak [illegible]niano nie nastąpi przed nowym rokiem, [illegible] posłowie ruscy w Radzie państwa chcą w tej sprawie porozumieć ze swymi kolegami w sejmie galicyjskim. Zgromadzeni delegaci młodoczechów, staroczechów i Słoweńców nie uchwalili żadnego programu, zgodzili się tylko na rezolucyę tej treści, że pożyteczną rzeczą byłoby utworzenie słowiańskiej koalicyi na zasadzie równouprawnienia i [illegible]ego zastępstwa interesów słowiańszczyzny, że należałoby już teraz wybrać wspólną [illegible]yę.

Rezolucya ta przedłożoną zostanie do [illegible]iowania wszystkim klubom, które młodoczesi chcieliby wciągnąć w skład projektowanej koalicyi. Jak powiedziałem, najgorliwiej krzątają się około złożenia tej koalicyi młodoczesi, oni bowiem największy interes mają w tem, aby ona do skutku przyszła. Pominąwszy już bowiem to, że przypodobaliby się Rządowi, spełniając jej gorące życzenie, mogliby zbytnio chwalić się przed wyborcami, że udało się im pozyskać sprzymierzeńców, czego im nieraz wytykano, wreszcie z tą koalicyą coby się im tylko podobało, byliby mieliby w niej ogromną przewagę liczebną. To też nie zdaje mi się, ażeby ci Słoweńcy, którzy wystąpili z klubu Hohenwarta, dali się złowić w te sidła, zwłaszcza, że wiedzą, iż przez nowy klub słowiański nic nie zyskają, natomiast wiele mogą otrzymać przez swych dawnych sprzymierzeńców tj. przez klub Hohenwarta i Polaków. Gdzie zresztą jest pokrewieństwo dążności młodoczechów i Słoweńców?

Pierwsi stoją niby to na zasadzie historycznej, drudzy zaś chcieliby rozbić obecny ustrój krajów, w których mieszkają i utworzyć dla siebie nowe królestwo. Nie ma ani jednej pozytywnej myśli, którąby mogła połączyć skoalizować się mające stronnictwa i zaprządz je do wspólnej pracy, nie ma nawet ufności wzajemnej, która przecież powinna być filarem każdej koalicyi. Nie zdaje mi się bowiem, aż by Słoweńcy z krajów południowych już zupełnie zapomnieli o tem, jak egoistyczne stanowisko zajęli Czesi po wydaniu patentu wrześniowego uznającego ich artykuły fundamentalne. Oto rzekli oni wówczas, że na wspólne wydatki państwa dadzą jakąś część dochodów królestwa czeskiego, jeżeli będą musieli, wszelako całą resztę obrócą dla siebie, bo nie myślą ani groszem wspierać ubogich krajów, takich n. p. jak Kraina. Nienaturalność całej takiej koalicyi wyszłaby na jaw niezawodnie na jednem z pierwszych posiedzeń. Bo niech mi tylko kto powie, jakim byłby urzędowy język tego klubu słowiańskiego. Czeski przecież nie, bo go nie rozumieją ani Słoweńcy ani Kroaci, z tego samego powodu nie mógłby nim być także język słoweński ani kroacki. A zatem musianoby chyba powrócić do tej starej niedokładnie żartem powtarzanej maksymy, że „die deutsche Sprache ist die einzige Sprache, in der sich alle Slaven verständigen können". Albo możeby przyjęto francuski język jako urzędowy język koalicyi, w każdym razie jednak [illegible] ze słowiańskich żadenby nie wystarczył.

P. Piętak przedłożył już komisyi budżetowej swój referat o podniesieniu poborów części sędziów powiatowych do VII rangi t. j. rangi radzców sądowych. Komisya nie tylko zgodziła się w zupełności na tę reformę, ale wielu członków jej wskazywało nawet na to, że jest ona niedostateczną, i że powinnoby się części sędziów zapewnić możność awansowania do VI rangi, bo przez to zachęciłoby się ich do pozostania dłużej lata na jednem i tem samem miejscu, coby prawdziwem dobrodziejstwem dla ludności.

KRONIKA.

Lwów 4 grudnia.

Mianowania. Ministeryum handlu zamianowało konceptowych praktykantów pocztowych: Tomasza Bieniawskiego i Franciszka Szneidra, koncepistami pocztowymi dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie.

Z uniwersytetu. P. Józef Aleksander Wielochowski, z Nowego Sącza, otrzymał na Uniw. Jagiell. stopień d-ra praw.

Konkursa. Sąd powiatowy w Delatynie i Skolem poszukuje dyetaryuszy.

Gmina miasta Komarna rozpisała z terminem do końca grudnia rb. konkurs na posadę weterynarza miejskiego z roczną płacą 350 złr.

Stacya telegraficzna z ograniczoną służbą dzienną weszła w życie w Chrostowej, w powiecie bocheńskim.

Wybór uzupełniający posła do Rady państwa z grupy gmin wiejskich okręgu wyborczego Żółkiew-Rawa-Sokal rozpisało Namiestnictwo na dzień 14go grudnia r. b.

Kasyno miejskie. W piątek dnia 8go i w sobotę dnia 9go b. m. [illegible] przedstawienia amatorskie. Lista będzie otwartą w poniedziałek o godzinie 6 wieczór.

Ślub. W sobotę odbył się w kościele św. Mikołaja we Lwowie ślub panny Maryi Tychonowiczówny z p. dr. Walerym Frankowskim, sekundarzem szpitala powszechnego we Lwowie.

Stypendya. Cesarz nadał stypendya z rocznych 1000 złr. z fundacyi swego imienia na rok szkolny 1893/94 pp. Marcelinowi Chłamtaczowi, kandydatowi adwokatury, byłemu uczniowi Uniwersytetu lwowskiego i Józefowi Klimondzie, b. uczniowi szkoły politechnicznej.

Ordynat hr. Stanisław Mieroszewski nadał wakujące stypendyum z rocznych 200 złr., z fundacyi ordynata Mieroszewskiego Stanisławowi Nałęcz Chwaliboglowskiemu, uczniowi I klasy gimnaz. św. Anny w Krakowie.

Wydział krajowy rozpisał konkurs na stypendyum z galic. funduszu krajowego z rocznych 200 zł. dla ubogich uczniów, uczęszczających do średnich lub wyższych szkół handlowych.

Pomoc dla żołnierzy z r. 1831. Sprawozdanie lwowskiej komisyi Towarzystwa opieki nad weteranami polskimi z r. 1831 za miesiąc październik i listopad opiewa: Dochody. Spadkobiercy ś. p. Karola Kiselki 500 złr., Dr. Zdzisław Marchwicki (zasądz. honorarium za zastępstwo prezydenta miasta) 150, Rada Nadzorcza Banku kredytowego 100, urzędnicy techniczni Wydziału krajowego za październik 6·50, za listopad 5·70, Ludwik Dolański rocznie 20, Apolinary Stokowski i Piotr Wayda rocznie po 6, Czermiński i Rudnicki 35, Władysław Czaykowski 10, Zygmunt Pietruski 5, z listy Czernichowskiego Feliksa 10, Edward Odrowąski 10, dr. Łotkowski 3, Jan Topolnicki 1, Kazimierz Granatowski ze składek w Turce koło Chyrowa 17·50, Jadwiga Skałkowska zebrane przy [illegible] 8·03, N. N. 2 złr., — ogółem wpływów 888 złr. 73 ct.

Z tego wydano w miesiącu październiku 30 weteranom zapomogi stałe i datki nadzwyczajne w kwocie 372 złr. W listopadzie 30 weteranom zapomogi stałe i dodatki nadzwyczajne w sumie 395 złr., na koszta pogrzebu jednego weterana 25 złr.

Dr. Bernard Goldman, skarbnik.

Z izby sądowej. Przysięgłymi głównymi zostali wylosowani: dr. Paweł Dąbrowski, Majlech Israel Kretz, Józef Steinbruch, Władysław Marek, Józef Giewicz, Józef Todres Jolles, dr. Michał Rozłucki, Izak Nisson Karol, Jan Liżyński, Eugeniusz Strzelecki, dr. Tadeusz Szydłowski, Zacharyasz Rewicz, Bronisław Drewski, Jakób Horowitz, dr. Jakób Raabe, Jan Lickendorf, Józef Bogdanowicz, Samuel Bażyk, Bronisław Zaklewicz, Franciszek Straff, Franciszek Kurzyński, Fryderyk Malzacher, Eliasz Hescheles, Maurycy Steinberg, dr. Witold Świejski, Izydor Łączyński, Ferdynand Kindel, dr. Karol Stromenger, Jan Szwejkowski, Julian Tenner, Izydor Frenkel, Karol Jasiczkowski, dr. Józef Rozen, Józef Studentowicz, Józef Zienkiewicz, Franciszek Wczelak.

Jako zastępcy: Józef Hersz Czaczkes, dr. Aleksander Jasowicz, Karol Józef Bayer, dr. Kazimierz Porny Podlewski, dr. David Hellmann, dr. Lesław Olszewski, Jan Kowalski, dr. Teodor Błotnicki, dr. Klemens Dębicki.

„Skała". Dnia 15 bm. rozpoczynają się w tem stowarzyszeniu wykłady następujących nauk: Historya i literatura polska, ekonomia społeczna, język polski i stylistyka, język niemiecki i stylistyka, rachunki i geometrya, matematyka, fizyka, buchalterya, historya powszechna i geografia (nauki te wykładać będą członkowie Czytelni akademickiej), dalej śpiew, gimnastyka, szermierka, ćwiczenia wojskowe i tańce. Oprócz tego dla ogólnego wykształcenia członków i ich rodzin odbywać się będą każdej niedzieli o piątej po południu w głównej sali „Skały" odczyty i wykłady. Pierwszy odczyt o Libelcie i o jego „miłości ojczyzny" miał p. Juliusz Starkel, członek Czytelni akademickiej, w niedzielę 3 bm. Wstęp wolny.

Odznaczenie Polaka. Dr. Karliński, którego jako bakteryologa powołano do Konstantynopola, otrzymał od rządu tureckiego order Osmanie trzeciej klasy. W irade sułtańskiem dotyczącem tego odznaczenia, powiedziano, że order otrzymał dr. Karliński za przychylne dla Turcyi zachowanie się na konferencyi sanitarnej w Wenecyi, powtóre za niepospolite usługi, jakie położył, towarzysząc pielgrzymom do Mekki z Bośnii i Hercegowiny, zwłaszcza na stacyach kwarantannowych w El Tour i Dżedde, a wreszcie za dalsze jego czynności w Konstantynopolu. Zarazem wyraził sułtan życzenie, żeby dr. Karliński nadal pozostał w Turcyi. Żonie jego, która mu towarzyszyła w tej uciążliwej podróży z pielgrzymami, nadał sułtan order Szefakata drugiej klasy.

Z Czernichowa nam piszą: Telegraficzne doniesienie Wam o zajściach, które się rozegrały w naszej szkole rolniczej. Bezpośrednią przyczyną ich był fakt następujący: Uczeń trzeciego roku, niejaki Jackowski, prowadzący się bardzo dobrze, zgłosił się 28 zm., że jest chory na nogę i do klasy iść nie może. Lekarz zakładowy Dr. Michalik uznał jednak, że chory w wygodnem obuwiu może przejść się na wykłady. Uczeń uczniał się, tłumacząc, że przy spuszczaniu nogi z łóżka doznaje przykrych bólów, i chciał pozostać w łóżku. Dyrektor zakładu p. Łaszczyński rozkazał tedy uczniowi stawić się, żeby poszedł do klasy, na co otrzymał od niego odmowną odpowiedź. Dyrektor zagroził zatem Jackowskiemu wydaleniem z zakładu, a gdy groźba nie pomogła, przyniósł mu dokumenta i rozkazał wyjeżdżać do domu. Koledzy tak niespodziewanie wydalonego ucznia wybrali deputacyę, która udała się do dyrektora z prośbą, aby wyrok swój zmienił, [illegible]. Dyrektor odmówił. [illegible] Tem uczuli się dotkniętymi uczniowie wszyscy: oświadczyli dyrektorowi, że gdyby się uparł przy ekskluzyi Jackowskiego, to oni wszyscy opuszczą zakład. [illegible] i wszyscy przyjechali do Krakowa.

Z Krakowa donoszą nam o dalszym przebiegu tej sprawy co następuje: Studenci czernichowscy, przybywszy do naszego miasta, wybrali natychmiast deputacyę do prezesa kuratoryi zakładu p. Homolacza. Deputacya nie zastała go jednak w domu, gdyż bawił on we Lwowie. Deputacya, złożona ze studentów Humnickiego, Szwojnickiego, Cypryańskiego, Olszewskiego, Domaszewskiego i Marcinkowskiego, [illegible] prof. Janczewskiego [illegible] p. Łaszczyński zbada rzecz dokładnie i po wydaleniu winnych z zakładu pozwoli reszcie z wykładów nadal korzystać.

Na takie załatwienie sprawy deputacya nie zgodziła się wcale, a uczniowie postanowili wytrwać w secesyi, póki władze całej sprawy nie rozstrzygną. [illegible] Tymczasowo uczniowie porozjeżdżali się do domów.

Dyrekcya zakładu wysłała do Lwowa prof. Sikorskiego, aby Wydziałowi krajowemu przedstawił całą sprawę secesyi.

Wieczorek. Dnia 2 bm. odbył się w lokalu stowarzyszenia kupców i młodzieży handlowej wieczorek muzyczno-deklamacyjny celem uczczenia rocznicy powstania listopadowego. Po przygodnem przemówieniu seniora stowarzyszenia p. Jahla nastąpiły produkcye przeważnie przez członków stowarzyszenia wykonane, a przeplatane nadzwyczaj sympatycznym śpiewem [illegible], grą na fortepianie pani Proguślskiej i występem amatorskim znanego tenora p. Kajetana Bojarskiego. [illegible]

Z Sanoka nam donoszą: Dzięki gorliwym staraniom sekretarza Swierczyńskiego, inżyniera Solimirskiego i rządzcy szpitala Kuszczaka zawiązał się komitet, który zbiera datki miesięczne na cel utworzenia muzyki miejskiej ochotniczej. Miasto nasze posiadało wprawdzie przed wieloma laty muzykę ochotniczą, ale przez niefortunny zbieg okoliczności po kilkuletniem ledwie istnieniu rozwiązał się. Z szczerego serca życzymy, by usiłowania komitetowych znalazły jak najsilniejsze poparcie ze strony całego naszego społeczeństwa i uwieńczone zostały pożądanym skutkiem.

W nocy z czwartku na piątek wśród głośnych okrzyków wprowadzono przy świetle licznych pochodni kandydata na rabina, który, o ile słyszymy, w sobotę w głównej bożnicy wygłosił próbne kazanie. Rabin sam, jako osoba w swoim zawodzie wykształcona i względnie inteligentna, nie ma wielu osobistych przeciwników: zaznaczyć jednak wypada charakterystyczny fakt, że jest w mieście spora liczba żydowskich obywateli, którzy wogóle rabina żadnego w Sanoku mieć nie chcą.

Słoty i zimna nasunęły kilku paniom zbawienną myśl zbierania odzieży, obuwia i gotówki, za którą mają kupić odzieży dla biednych, pilnych dzieci, do szkoły uczęszczających. Wykonaniem tej zacnej myśli zajmują się panie: Bauman, Drewińska, Kahane i Pleszowska; byłoby może odpowiednie tym dzieciom i drzewko urządzić i przy tej sposobności dobrze je nakarmić. Niech i to pożałowania godne biedactwo wie, że istnieje dzień Bożego Narodzenia!

Szkołę ludową z polecenia starostwa zamknięto na przeciąg dni 10, gdyż panuje obecnie odra, otóż w ten skuteczny sposób władza chce zapobiedz szerzeniu się epidemii.

Wezwanie. Uczenice szkoły PP. Benedyktynek łac. z r. 1891/92 zechcą celem porozumienia się w ważnej sprawie podać miejsca swego zamieszkania pod adresem: Helena Blaim, ul. Żółkiewska l. 46.

Nowy proces emigracyjny. Z Jasła donoszą nam: Dnia 10 bm. odbędzie się tu przed ławą sędziów przysięgłych rozprawa przeciw byłemu sekretarzowi tutejszego starostwa i kilku dyurnistom starostwa, obwinionym o nadużycie władzy urzędowej przez bezprawne sprzedawanie paszportów włościanom, zamierzającym wyemigrować do Ameryki. Do rozprawy powołano przeszło 100 świadków, a prowadzić ją będzie prezydent naszego sądu obwodowego p. Podwin.

Z Brzeżan donoszą nam: W mieście naszem zawiązał się w tych dniach przedwyborczy komitet złożony z 60 członków, który ma się zająć przeprowadzeniem wyboru uzupełniającego posła do Rady państwa z miast Tarnopol-Brzeżany w miejsce dra Czerkawskiego. Wybór odbędzie się dnia 28go bm. Przewodniczącym komitetu przedwyborczego wybrano p. Gärtlera, burmistrza miasta Brzeżan, zastępcą jego zaś p. Morwitza, notaryusza. Dotąd zgłosił w tym komitecie jedynie p. Ramski, prezydent sądu obwodowego w Brzeżanach, swoją kandydaturę na posła do Rady państwa. Przyjęto ją nader sympatycznie.

Samobójstwo. Wczoraj o godzinie 8 rano odebrał sobie we Lwowie życie napiwszy się kwasu karbolowego Tadeusz Starak, zecer, lat 20 liczący. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Kanonizacya Dziewicy Orleańskiej. Jak wiadomo wśród katolików francuskich jest bardzo silna partya domagająca się kanonizacyi, lub przynajmniej beatyfikacyi Joanny d'Arc. Proces kanonizacyjny już rozpoczęto, ale jak obecnie donoszą z Rzymu nie ma nadziei na pomyślny wynik procesu. *Advocatus diaboli,* czyli ten członek komisyi kanonizacyjnej, który przedstawia motywa przeciw kanonizacyi, wypowiedział już swe zdanie, że Joannie d'Arc brak podstawowych warunków, aby przyznać jej zaszczyt figurowania w mszale i kalendarzu świętych. Cześć, jaką jej oddają, zawdzięcza patryotycznej roli, jaką odegrała, a i w tem Francuzi wiele przesadzili. Dodać jeszcze trzeba, że na jej wstawienie się nie został sprawiony ani jeden cud, a brak jej i innych cech, koniecznych świętej. Kościół w tak ważnej sprawie nie może zejść do roli schlebiania czyimś patryotycznym czynom, ale powinien się ściśle trzymać swych praw. Tak się mniej więcej przedstawiają w streszczeniu wywody „adwokata dyabelskiego" a jak się zdaje kongregacya pójdzie tym razem za jego zdaniem.

„Sokół". Dziewiątą rocznicę założenia własnego gmachu obchodził wczoraj Sokół lwowski koncertem i popisem gimnastycznym. Wiceprezes Dzięgdzielewicz zaznaczył, że wzniesienie własnego gmachu we Lwowie jest przełomowym wypadkiem w historyi polskiego sokolstwa, które dziś liczy 8000 związkowych członków. Chór odśpiewał wspaniały „Hymn Sokołów" skomponowany przez Miecz. Sołtysa. Z ćwiczeń gimnastycznych najlepiej było wykonane budowanie piramid na wolnostojących drabinach, które sprawiało wrażenie formalne denerwujące. Publiczność biła brawo w takt do marszu, który grała muzyka wojskowa pod batutą p. Rolla. Po koncercie odbył się bankiet ze współudziałem wielu osób z prowincyi. W czasie tego bankietu wzniósł toast na cześć Bułgarów p. Kube w ręce p. Popowa, który jest Bułgarem i należy do Sokoła lwowskiego.

Z Jasła nam piszą: Kaplicę wybudowaną ze składek dla użytku młodzieży gimnazyalnej, rozpoczętą w r. 1892, dokończono w roku bieżącym o tyle, że może być do użytku oddana. Poświęcenie jej odbędzie się we czwartek dnia 7 grudnia.

Atleta p. Wł. Pytlasiński produkować się dziś będzie wieczorem w sali Towarzystwa „Frohsinn" w hotelu Żorża. Dziś nastąpi dalszy ciąg zapasów p. Pytlasińskiego z p. Niemannem, sławnym atletą hamburskim. Być może, że dziś zakład się już rozegra i jak mamy nadzieję, p. Pytlasiński swego przeciwnika pokona.

Egzamin rządowy złożyli lekarze weterynaryi pp.: Michał Małecki z Wadowic i p. Antoni Szymański z Przeworska.

Z Krynicy nam piszą dnia 3 grudnia: Staraniem miejscowego gr. kat. proboszcza ks. kanonika Jana Kopyścińskiego zawiązało się tu w maju br. Kółko rolnicze, które następnie we wrześniu otwarło własny sklep. Ze względu jednak, że gmina Krynica jest zbyt rozległą, okazała się potrzeba otwarcia więcej sklepów, a przedewszystkiem w środku Zakładu kąpielowego. To też zarząd tej młodej instytucyi wniósł prośbę do dyrekcyi dóbr państwowych we Lwowie o wydzierżawienie lokali ku temu celowi odpowiednich. Spodziewamy się, że dyrekcya oceniając doniosłość takiego sklepu, zwłaszcza podczas sezonu kąpielowego, prośbę przychylnie załatwi. Że zawiązanie się Kółka rolniczego i otwarcie sklepu w tutejszej miejscowości okazało się pożądanem, świadczy ta okoliczność, że oprócz mieszkańców zakładu kąpielowego przystąpiła do Kółka z udziałami większa część włościan.

Przeciw kumulowaniu urzędów. Rosyjskie ministeryum skarbu zawiadomiło wszystkie towarzystwa akcyjne, że kumulowanie posad jednocześnie w kilku instytucyach sprzeciwia się prawu i zażądało, aby do nowego roku ci, których to rozporządzenie dotyczy, wybrali sobie jeden tylko urząd, który się im najlepiej podoba. Rozporządzenie to wywołało burzę w finansowym i handlowym świecie Warszawy, gdzie na porządku dziennym jest, że jedna i ta sama osoba jest członkiem kilku instytucyi nieraz o sprzecznym charakterze.

Proces o parkan. W sądzie karnym przy ul. Grodeckiej zasiadał onegdaj na ławie oskarżonych burmistrz miasta Lwowa p. Edmund Mochnacki. Oskarżycielem był prof. Jegerman. Rzecz poszła o parkan, który swojego czasu wybudował p. Jegerman przy ul. Teatyńskiej, a który następnie rozebrany został na rozkaz dyrektora urzędu budowniczego Hochbergera z tego powodu, że według jego orzeczenia ten parkan był nieestetyczny i poprowadzony w niewłaściwym kierunku tak, że wkraczał na grunt należący do gminy. Sprawa ta dostała się pod dyskusyę rady miejskiej i wtedy to p. Mochnacki wyraził się, że prof. Jegerman „zajął" czy też „zagrabił" własność gminy. Tem wyrażeniem uczuł się prof. Jegerman dotkniętym i zaskarżył o oszczerstwo głowę miasta i głowę urzędu budowniczego. Oskarżony prezydent Mochnacki, lat 58, ojciec jednego dziecka, stanąwszy przed sądem, tłómaczył się tem, że opierał się na orzeczeniu Hochbergera, Hochberger zaś korzystając z tego, że oskarżenie wniesionem zostało po upływie przepisanego terminu, nie zjawił się wcale w sądzie. Wobec takiego więc zbiegu okoliczności p. Jegerman cofnął skargę, a sąd uwolnił burmistrza od zarzutu obrazy honoru.

14 554 spadkobierców. W Antwerpii żyła pewna wdowa, nazwiskiem Meens, zamieszkiwała przy *Avenue des arts* wspaniały dom i uważaną była za niesłychanie bogatą. Otóż umierając, zostawiła ona testament, w którym spadkobiercami swoimi zrobiła wszystkich krewnych swego pierwszego męża, który nazywał się Verhaegen, aż do dwunastego stopnia, pod warunkiem, aby najpóźniej w sześć miesięcy po ogłoszeniu jej śmierci zgłosili się ze swemi pretensyami. Wiadomość o tym testamencie wywołała w Belgii powszechne — można powiedzieć — wzburzenie, bo nazwisko Verhaegen jest tam bardzo rozpowszechnione. Wszyscy, którzy nazywali się tak, lub przypominali sobie, że gdzieś tam w rodzie mieli jakiegoś Verhaegena, poczęli badować swe drzewa genealogiczne i zgłaszali się do wykonawców testamentu. Do tej chwili takich amatorów na spadek zgłosiło się 14 554, papiery 840 przedłożono już sądom i rozpoczęło się 35 procesów o spadek a 6151 czeka jeszcze chwili, aby świeżemi siłami rzucić się w wir walki. Procesy spowodowały pewne dziwaczne zastrzeżenia w testamencie. Sądy z powodu tej całej sprawy mają niesłychaną pracę, wystarczy przytoczyć już samo przeglądanie drzew genealogicznych, wśród których jest jedno takie, co zajmuje 16 metrów kwadratowych. Na całej awanturze nie zyskają spadkobiercy albo nic zupełnie, albo nie wiele. Pogłoska [illegible]

SZARE ŻYCIE.

Jesienne słońce blademi promieniami oświeca puste pola. Do stodół i spichlerzy sprzątnięto już prawie wszystko, czem matka—ziemia obdarzyła dzieci swoje. Rok był szczęśliwy. Dżdże przychodziły w porę, słońca było w sam raz, burze gradowe omijały wioskę zdaleka, słowem, obfitość w ziarnie i jarzynach wielka. Bóg wynagrodził za rok zeszły, ciężki, suchy rok, kiedy to i ptaszynie trudno się było pożywić, a co dopiero człowiekowi? Na przednówku to ludzie jeno placki ze zgniłych kartofli piekli w popiele, a po ubogich chatach i takich placków nie mieli.

Oto np. Maciejowa chata pod lasem; przycupnęła ku ziemi, jakby się zmęczyła, słomiany dach rozleciał się z wiatrami, okna wykrzywiły się i pozapadały. Nie ma za co poprawiać, więc tak i stoi z roku na rok, chyli się, trzęsie, ale stoi, aż ludzie się dziwują, że taka wytrzymała. Maciek czasem belką pod bok podeprze, słomy na dach narzuci, i chata jakoś trwa. Koło niej ani drzew, ani ogródka; ale za to łopiany i chwasty rozrosły się szeroko, a że nikt swobody ich nie krępuje, więc tak się rozwielmożniły, jakby chciały bogactwem swoich liści ubóstwo chaty zasłonić.

— Powyrywałbyś to zielsko — mówi nieraz do swej kobiety Maciej. — Plącze się to wele nóg, a tak rośnie marnota, co ci niedługo chatę nakryje.

— Niech ta rośnie — cedzi przez białe zęby Maciejowa. — Coć ci krzywe? Ani go siejesz, ani też pielęgnacyi nijakiej mu nie potrza.

Rosło też i zieleniało, a wśród tego zielska podskakiwały szare wróble, świergocząc i ulatując raz wraz na strzechę stodółki. Z nimi też i na podwórku weselej.

U Maciejów w tym roku niezgorzej się wiedzie; ale innemi laty ciężko bywało.

Jagna Koźliczanka, kiedy ją Maciej wziął za żonę, służyła u arendarza Chaima. U żyda służyć, to już ostatnia rzecz i poniżenie okrutne; ale Jagna nie mogła wybierać. Gdy matka jeszcze żyła, a stara była i chorobą pokurczona, Jagna chodziła od chaty do chaty starać się o służbę.

— Byle kącik jaki dla matusi i łyżka strawy, to ja się tam czem bądź obędę — prosiła, całując ręce gospodyń.

— Co ci się śni?—mówiła Goździkowa, najbogatsza gospodyni we wsi. — Ktoby to was dwie na kark sobie brał? Żeby choć stara dziecka dopilnowała, albo kartofli oskrobała, toby ta jeszcze prędzej, ale tak! Do wylegiwania jeno i do stękania... Nie chcę, nie chcę! Szukaj sobie służby gdzieindziej.

Całą wieś obeszła, i skończyło się na służbie u Chaima. Pracowała tam jak rok długi za lichy kąt na strychu i łyżkę strawy.

— Dajcie mi choć marną jaką zasługę — prosiła Chaimowej. — Toć się nie mam na Imię Boskie w co ogarnąć; wełniak a to ze mnie spadł, koszulinem zdarła. Cóż ja pocznę?

— Aj waj, jaka ty mądra — cmokała językiem Chaimowa. Jeszcze tobie zasługie? O wa! Z matkiem, z chorem, takie kłopot, dwie gęby do jedzenia, do spanie, do wszystko. Jaka ty mądra! A czemu tobie Goździchowa zasługie nie dała? Nu? A Wulkowa a Hubikowa, nu?

— Ale Boga się bójcie, czem ja się przyodzieję — skarżyła się z płaczem dziewczyna; przecie bez koszuli nie będę chodzić. Sumienia chyba nie macie.

Chaimowa skoczyła jej do oczu.

— Won, won, ty sobie będziesz kłócić ze mną, a ja tobie wypędzę i twoje matke wypędzę. Ty sobie odemnie precz idź, tobie lepsze służbe czeka.

Jagna szlocha na dobre. Ot co sobie zrobiła! Gdzie ona teraz z chorą matką pójdzie. Chaim załagodził sprawę. „Stiel głupia — mówi — pani tobie watówkę jaką da, może i jakie szmaty da. Nu git? Gdzie ty teraz służbę znajdziesz?" Kończyło się zwykle na obietnicy, albo na starych szmatach, z których Jagna po nocach spódniczyny sobie łatała.

Maciek w owe czasy miał szkapinę. Woził drzewo, deski, a dla Chaima rozmaite produkta z miasta. Chłop był wstrzemięźliwy, oszczędny i ciułał grosz do grosza powoli. „Aby ino chatę własną i kawałek roli mieć, przemyśliwał, zaszywając w sukmanę papierki. Ożenię się z jaką tęgą a porządną dziewczyną i będziema się dorabiać na swoje". — Oczy jego zwracały się wtedy na pracowitą a hożą Jagnę. Po roku stara Koźlikowa umarła. Nie miała już dziewczyna ani użalić się komu, ani na czyjej piersi zapłakać.

Raz jakoś przed godami, że to psota na dworze była okrutna, został się Maciek na noc u Chaima. Położył się w stajni na wozie, sukmaną nakrył, pięść pod głowę podłożył i zasnął. Obudziło go pianie kogutów, a potem cichy płacz z kąta. „A! to se Jagna tak na srogi mróz narzeka — szepnął. — Biedactwo! Oj, pewno większe odemnie".

Żal mu się Jagny zrobiło. Podniósł się z wozu, obuł się i sukmanę wdział. Robił to jednak wolno, namyślając się. Stuknął wreszcie palec o palec: tak, czy nie tak? Wypadło „tak". Nie namyślając się dłużej, podszedł do Jagny.

— Jaguś — mówi — chodź ino sam.

Dziewczyna się zlękła i przestała płakać.

— Nie bój się, głupia, to ja, Maciek, złego ci nic nie uczynię.

Łagodne brzmienie głosu Macieja przeniknęło do serca sieroty. Wstała z ziemi, zapaliła latarkę i otarła oczy fartuchem. Drżała przytem z zimna. Maciek, nie mówiąc nic, do wozu podszedł, gunię swoją zdjął i nakrył dziewczynę.

— Zimno ci, co? Bodaj się w szabas rybą udławiła ta twoja Chaimowa! — zaklął. — Żeby też jakiej chuściny ci nie kupili. Czas by ich rzucić, Jaguś? Ludzie ino pokpiwają z żydowskiej służby.

Jagna westchnęła: „Nikaj przyjąć nie chcieli z matulą."

— A teraz — spytał — co ci za przyniewola u nich służyć? Pluń na nich i umykaj. Co?

Zawahała się: „Co! machnęła ręką, sierocie to nigdzie rozkoszy nie ma, a zawdym już przywykła. Matusia tu na strychu leżeli, tu zmarli... dodała ciszej. Jak mi już taka ciężkość na serce padnie, co se nijak z nią poradzić nie mogę, to ino na strych pójdę i zawdy mi się zdaje, co matuś nie umarli, ino tam leżą na łóżku i mówią: „Jaguś, nie narzekaj, bo to grzech. Pana Jezusa gorzej męczyli, jak ciebie."

Zamilkła, głos jej się złamał łkaniem.

Maćka dziwnie poruszyła sieroca skarga.

— Słuchaj no, Jagna — rzekł krótko — tyś biedna i ja nie bogaty; oboje my sieroty, więc już nijak być nie może, ino w niedzielę po godach pójdziewa do proboszcza i damy na zapowiedzie. Pobierzemy się; za te kilkanaście papierków, com se uciułał, wydzierżawimy sobie chatę, byle roli trochę przy niej było; konisko mam poczciwe, ty se wieprzaka przychowasz, parę kur, ot i będzie gospodarstwo na początek, a potem, jak Bóg da. Zdrowiśmy oboje, do roboty się nie lenimy, coby nam miało być źle? No, Jagna, dobrze tak będzie, hę? — Ale Jagnę jakby kto urzekł. Stała nieruchoma, nie mogąc pojąć, jak to może być? Maciek wziął ją za rękę.

— Powiedziałem ci akuratnie, jak co jest; powiedz, co się zgadzasz, to przywiozę ci pojutrze z jarmarku obrączkę i chuścinę, cobyś tak nie dygotała zębami. Dobrze, co? Gadaj że przecie.

Dziewczyna na dobre się rozpłakała. Czy się zgadza? Jezusie miłosierny, a toć ona zaniemiała z wielkiej radości. Maciek taki porządny chłop, sam Chaim powiada, że uczciwy — i ona ma być jego żoną, nie będzie służyła, będzie miała swoją chatę i kury i wieprzaka, a z jarmarku przywiezie jej Maciek obrączkę i chustkę. O matuś, matuś, czemuście wy nie dożyli tego — szepnęła, składając skostniałe od zimna ręce. Nikt dotąd o nią nie dbał, wszyscy poniewierali; gdy szła po wodę, chłopcy za nią kamieniami ciskali i krzyczeli, że żydowskim bachorom nosy uciera, aż tu teraz... W głowie jej się mąciło.

— Maciek — szepnęła — czy to aby prawda? Może ty ino bez kpiny gadasz? Gdziebyś ty taką odartą sierotę za żonę brał...

— Kiej biorę — rzekł, śmiejąc się. — A o kpinkowaniu to ta i gadania nie ma. Bóg by mię pokarał, żebym se z sieroty pokpiwał. Nie bój się, com rzekł, to i dotrzymam.

Pogłaskał ją po mokrej od łez twarzy.

— Połóż się na wozie i prześpij — rzekł. — Nakryję cię, to się zagrzejesz trocha. Obudzę cię skoro świt, nie bój się.

Usłuchała. Z lubością wsunęła się w słomę i usnęła, marząc o własnem gospodarstwie.

Pobrali się, chałupę pod lasem wydzierżawili i wzięli się do pracy. Przez pierwsze lat kilka wiodło im się nieźle. Krowę kupili, Maciej kawałek nowin pod lasem wykarczował, żyta zasiał; obrodziło i mieli nadzieję coraz lepszej przyszłości. Byłoby wcale dobrze, gdyby pod jesień Jagna nie zachorzała. Spodziewała się dzieciątka na Gromniczną dopiero; ale Jagna, niosąc mąkę ze młyna, podźwigała się i przyszło na świat maleństwo przedwcześnie. Maciej, który za dziecinnym szczebiotem w domu okrutnie tęsknił, ocierając sukmaną łzami nabiegłe oczy, zbijał z desek trumienkę dla pierworodnego synka. Ciężko mu było, bardzo ciężko. Bił się w piersi, mówiąc: „Wola Twoja Panie", ale coś go targało na wnątrzu i pogodzić się z wolą Boską niełacno przychodziło. Skończył robotę, ułożył zwłoki i wyniósł trumienkę przed dom. „Niech se tu na ławie postoi chudziątko" szeptał, „zanim się obleke na cmentarz pójdziemy. Miły Boże! Kolebkę mu wyrychtował galantą, i anim go razicz w niej nie kołysał!"

Frunęło koło niego, zaszumiało i na białej trumience dzieciny siadł zwyczajny szary wróbelek, który zjawia się nieproszony i na polu i w stodole, często gęsto i na oknie w chałupie siedzi. Zna go Maciej, zna i Jagna. Kiedy mrozy ciężkie przyjdą, ziarno mu nawet sypie, żeby z głodu nie przymarł. Bywało na św. Bartłomiej, cho! już boćki z gniazda fru! daleko, tylko garść słomy została po nich na wysokiej topoli. Kończy się wrzesień, jaskółki wybierają się w drogę, wróbel zaś patrzy, łebkiem kręci, ale się nie rusza. „Niech tam lecą" myśli. „Cudzy chleb snać im smakuje. Ja sobie przezimuję i tutaj." Łońskiego roku wyżył biedy niemało. Ani ziarnka w stodole nie było, w polu pustki... zkąd co wziąć? I w chacie było nie lepiej. Gospodarz i gospodyni także głodu zaznali, a wszakże kiedy sami cokolwiek mieli, to i o wróblach pamiętali.

Towarzysz wróbel przyleciał teraz zaśpiewać piosenkę żałobną na trumience synka swoich chlebodawców.

bowiem o majątku wdowy była przedewszystkiem przesadzona, wszystkiego bowiem pozostawiła ona 3 miliony, a spodziewano się, że spadek wynosi około 10) milionów. Najbliżsi jej krewni otrzymają zapewne po paręset, lub parę tysięcy franków, resztę pochłoną olbrzymie koszta procesu, który potrwa z parę dziesiątek lat. Słusznie więc powiedział jeden z adwokatów, przy rozpoczęciu sprawy, że pani Meens zrobiła swoimi spadkobiercami właściwie adwokatów.

Przekupstwa w magistracie lwowskim. W sprawozdaniu o jednem z posiedzeń rady miejskiej donieśliśmy o zasuspendowaniu nadinżyniera miejskiego p. Kamińskiego, głównie z powodu przekupstw, jakich się miał dopuścić. Rada miejska potwierdziła suspenzyę i postanowiła oddać sprawę do krajowego sądu karnego. Kamieniem, o który potknął się p. Kamiński była sprawa dzierżawy kamieniołomu Ratyńskiego, Włocha Didoi, który usunięty od dzierżawy w r. 1891, wydał obecnie na jaw cały swój stosunek z p. Kamińskim. Ten chcąc przeciąć drogę śledztwu karnemu wytoczył skargę przeciw p. Didoi, a rozprawa ta odbyła się w ostatni piątek i sobotę w sekcyi III sądu miejsko-delegowanego.

Prywatnego oskarżyciela, nadinżyniera magistratu p. Kamińskiego zastępował syndyk miejski dr. Popiel, p. Didoi zaś, wziął sobie na obrońcę dr. Zygmunta Lisiewicza.

Oskarżony zgłosił swoją gotowość przeprowadzenia dowodu prawdy i opowiadał przed sądem łamanym polskim językiem historyę swego stosunku z p. Kamińskim. Przez szereg lat wyzyskiwać miał p. nadinżynier Didoia niemiłosiernie, sekował go, lżył ostaniemi słowy i za każdą sprawę kazał sobie płacić, a kiedy wreszcie wyczerpały się fundusz Didoia, który nie mógł już więcej płacić, usunięto go od dzierżawy. Tak więc znalazł się Didoi bez chleba, straciwszy na przedsiębiorstwie cały swój kapitalik, a pozostało mu tylko 5000 złr. niezaspokojonych pretensyi do gminy. Wniósł więc podanie do Rady miejskiej o wypłacenie mu tej sumy, lecz i tu prześladowała go niechęć p. Kamińskiego, który zaopiniował prośbę przedsiębiorcy do odrzucenia, a nawet niektóre ustępy jego podania, które dopiero w tym roku przedłożono Radzie, na własną rękę tak poprzerabiał, aby sprawę Didoia przedstawić w jak najgorszem świetle. Ale to stało się przyczyną wykrycia nadużyć. Co się tyczy „łapówek" Didoi przytoczył kilka faktów. W roku 1887 należało się Didoiowi z kasy miejskiej za 9000 metrów sześciennych odkrywki, zrobionej w kamieniołomie. Kamiński wyasygnował mu należytość, ale kazał sobie za to zapłacić razem 250 złr. W rok potem musiał mu jeszcze dać Didoi 150 złr., a w roku 1890 za zmniejszenie kary nałożonej nań przez magistrat 50 złr. Innym znowu razem potrzebował Kamiński 10 metrów płyt do brukowania podwórza i 25 metrów t. zw. podwójniaków, on więc musiał ich dostarczyć, nakoniec za poleceniem Kamińskiego dał konduktorom drogowym Szczudłowskiemu i Jaczyńskiemu po 72 złr.

P. Kamiński przesłuchiwany przeczył temu wszystkiemu. Zeznania swoje składał on niezaprzysiężony, mimo że tego domagał się dr. Popiel, gdyż rząd przychylił się do wywodów obrońcy dra Lisiewicza, który był przeciwnym przysiędze, bo równocześnie toczy się przeciw p. Kamińskiemu śledztwo karne z powodu tych samych faktów, dla których rozjaśnienia go wezwano. Przyznaje on, że pieniądze, które Didoi przedstawia jako łapówki, rzeczywiście otrzymywał, ale były to zdaniem jego zwroty zaliczek, które on z funduszu dyspozycyjnego, jaki miał w kasie miejskiej, wypłacał Didoiowi, aby go nie narażać na zbyt długie oczekiwanie pieniędzy należących mu się od miasta. Z odpowiedzi jednak p. Kamińskiego na pytania obrońcy dra Lisiewicza okazało się, że w aktach magistratu nie ma wcale śladu takich „pożyczek z funduszu dyspozycyjnego". Kamiński przyznał dalej, że owych 10 fur płyt Didoi rzeczywiście przywiózł na jego podwórze, ale on zaraz powiedział mu: „Panie Didoi, ja pańskich płyt nie potrzebuję." Później jednak, ponieważ płyty takie były mu rzeczywiście potrzebne, wziął je, ale zapłacił za nie przedsiębiorcy.

Bardzo obciążające dla Kamińskiego było zeznanie dr. Gryzieckiego, radnego miasta i profesora uniwersytetu. Należał on do komisyi, wybranej dla rozpatrzenia pretensyi Didoia do miasta. Zeznania, które Didoi przed tą komisyą złożył, uczyniły na świadku wrażenie zupełnej prawdy i i spowodowały komisyę, że zażądała od prezydenta miasta p. Mochnackiego suspensyi Kamińskiego. Ten ostatni przyznał nawet przed komisyą, że wziął od Didoia 25 metrów kamieni t. zw. „podwójniaków". W stosunku do przedsiębiorców, zależnych od niego, miał Kamiński niemal nieograniczoną władzę. Załatwiał wszystkie sprawy sam, bez żadnej kontroli, chociaż np. przy odbiorze kamieni, lub obliczeniach w kamieniołomie, powinien być urzędnik izby obrachunkowej i delegat Rady miejskiej. Co się tyczy owego jakiegoś funduszu, który w kasie miejskiej miano pozostawić do dyspozycyi Kamińskiemu, dr. Gryziecki oświadczył, że nigdy o czemś podobnem nie słyszał.

Wyrok w tym procesie jeszcze nie zapadł i został zatrzymany aż do czasu kiedy z sądu karnego nadejdą potrzebne do rozjaśnienia sprawy akta śledztwa wytoczonego p. Kamińskiemu z powodu tych samych faktów, o które chodziło w procesie Didoia.

Z Brodów piszą nam: W notatce o sprzedaży Podhajec zawartej w ostatnim numerze *Przeglądu* znaleźliśmy pewną mylkę. Oto autor korespondencyi z Podhajec zrobił zarzut, iż w państwie brodzkiem prowadzi się zła gospodarka. Zarzut ten musimy odeprzeć, gdyż polega na mylnej informacyi. Gospodarka leśna w państwie brodzkiem prowadzoną jest racyonalnie, lasy są wprawdzie eksploatowane, ale odbywa się to według ułożonego z góry planu gospodarki leśnej i eksploatacyą tą lasów wcale się nie niszczy.

Najlepszym dowodem, iż gospodarka leśna w państwie brodzkiem złą nie jest, jest ten fakt, iż co roku dyrekcya lwowskiej szkoły leśnej wysyła do Brodów jednego ucznia celującego na praktykę. Nie robiłaby zaś dyrekcya tego, gdyby w Brodach nie gospodarowano dobrze i racyonalnie.

Ze stowarzyszeń. VIII posiedzenie polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika odbędzie się we wtorek o godzinie 6 wieczorem w sali instytutu chemicznego. Porządek dzienny: 1. Dr. Tyniecki. Z phytopaleontologii. 2. Dr. Nussbaum. Przyczynek do historyi naturalnej dżdżownic. 3. Luźne komunikacye.

Rocznica. Młodzież IIgo gimnazyum we Lwowie urządziła dnia 2go grudnia wieczorek ku czci Adama Mickiewicza.

Młodzież szkoły leśnej zwiedzała w sobotę w liczbie 30 pod kierunkiem dyrektora p. Władysł. Tynieckiego, oraz profesorów pp. Demianowskiego i Janeczka plac wystawy krajowej na Stryjskiem. Dyrekcya wystawy rozdała wszystkim uczestnikom plan wystawy bezpłatnie.

Na dochód ubogich uczniów szkoły wydziałowej w Samborze odbędzie się w niedzielę w sali kasyna amatorskie przedstawienie.

Stan powietrza. Term. — 3° o godz. 8 rano, w poł. — 1° R. Barom. 768. Spada. Pochmurno.

U fotografa.

Przed aparatem siedzi dama, którą matka-natura niezbyt szczodrze obdarzyła wdziękami.

Fotograf nastawia aparat i rzecze:

— Proszę przybrać przyjemny wyraz twarzy... Jeszcze przyjemniejszy.. Jeszcze przyjemniejszy... Ot tak! . Raz, dwa, trzy...

Po chwili:

— Dziękuję. Teraz może już pani przybrać naturalny wyraz twarzy...

Literatura i Sztuka.

* **W sprawie wywoływania autorów na proscenium.** Zwyczaj wywoływania autorów datuje mniej więcej od lat stu. Dawniej klaskano ogniście, ale nie wywoływano nikogo. Klaskano w starożytności, w Rzymie więcej niż w Grecyi, bo Rzymianie zawsze byli skłonniejsi do jaskrawego wyrażania swego zadowolnienia i niezadowolnienia. W Atenach zresztą poeci i aktorzy byli mistrzami i kapłanami, w Rzymie sługami publiczności, pragnącej spędzić czas mniej lub więcej przyjemnie. Komedye kończyły się w teatrze rzymskim prośbą o oklaski. „Plaudite cives!" mawiał aktor, mający w sztuce ostatnie słowo. Klaskano w dłonie lub stukano krzesłami o podłogę, aż trzeszczała. Następnie Włochy przyjęły zwyczaj wywoływania na scenę aktorów. Zwyczaj ten przeszedł do Francyi, a później dopiero pojawił się w Niemczech, gdzie w roku 1778 wywoływano po przedstawieniu słynnego aktora Brockmanna. Publiczność jednak niemiecka, traktująca sztukę teatralną w ogóle poważniej niż widzowie innych narodowości, niechętnie przyswoiła sobie ten zwyczaj. Kroniki teatralne Salzburga opisują, że około roku 1798 publiczność wywoływała na scenę tylko trzech aktorów, których wyśmiać chciała. Była to więc owacya ironiczna, jeżeli tak wyrazić się wolno.

Z czasem wywoływania zaczęły grasować w teatrach europejskich, na czem fatalnie wychodziła sztuka sama. Nie było tak marnego aktora, któryby nie przygotowywał sobie sztucznych wywoływań. Chłostała niedorzeczny zwyczaj satyra: w końcu wieku zeszłego duński poeta Ewald napisał bardzo dobrą sztukę p. t. „Brutalny klakier", w której wyśmiewał nadmierne i często nieuzasadnione owacye teatralne. Sztuka wystawiona po raz pierwszy w teatrze w Kopenhadze, znalazła gorące przyjęcie. Tylko, że publiczność, wdzięczna poecie za chłostanie wywoływań, na każdem przedstawieniu wywoływała autora.

Ongi autorowie francuscy odznaczali się skromnością i brakiem zaufania we własne siły. W początkach wieku bieżącego większość sztuk teatralnych szła na scenę bezimiennie. Jeżeli publiczność bawiła się dobrze, jeżeli sztuka zyskała uznanie, dyrektor teatru lub grający rolę tytułową wychodził przed kulisy i obwieszczał, że X. lub Y. jest autorem sztuki, która się podobała. Autorowie sztuk słabych ginęli w ten sposób w otchłaniach bezimienności.

Lessing był stanowczym przeciwnikiem wywoływania. „Nie wiem — pisze w *Dramaturgie*, wydanej w r. 1767 — co więcej podziwiać: dziecinną ciekawość publiczności, czy też pyszałkowatość autorów? Większość mniema, iż poeta wyglądać musi inaczej, niż wszyscy ludzie. Dalejże go wywoływać! I jakże słabem musi być wrażenie sztuki, jeżeli natychmiast po zapadnięciu kurtyny, w tłumie, który powinien być wzruszony, skupiony, zamknięty w sobie, budzi się nie trywialna ciekawość już, lecz ciekawostka. Prawdziwe dzieło sztuki powinno tak szczelnie wypełnić duszę widza, iż ma on zapomnieć o wszystkiem innem. Co obchodzi literaturę wszechświata autor, skoro ma do rozporządzenia dzieło".

Paryż, który zawsze przodował światu w rzeczach teatralnych, powrócił, acz pozornie, do dawnej bezimienności autorów. Choć cały świat wie dobrze, czyja sztuka będzie dziś grana, imienia autora na afiszu nie ma. Po ostatnim akcie, jeżeli rzecz znalazła uznanie, wychodzi reżyser i mówi: „Mesdames et Mesieurs, la piece que nous avons eu l'honneur de jouer devant vous, est de Monsieur X." Tu następują oklaski, na scenie jednak st[illegible] reżyser, nie zaś autor.

W Niemczech inne panują pod tym względem obyczaje. Moda wywoływania, przeszczepiona z gruntu francuskiego, pozostała na ziemi niemieckiej, choć się jej wyrzekł teatr francuski. W r. 1800-ym wywoływanie odbywało się rzadko, jak świadczy gruntowny znawca ówczesnych stosunków teatralnych, Fr. Schütze. Za czasów Ifflanda, który występował najczęściej we własnych, gwoli sensacyi pisanych sztukach, wywoływanie rozpanoszyło się na dobre, a w r. 1846-ym Herloszsohn i Margraff w „Leksykonie" teatralnym stwierdzają, iż nie ma przedstawienia bez wywoływania autora przed oblicze publiczności. Dwadzieścia do trzydziestu wywoływań było drobnostką, już wówczas bowiem zalegały salę teatralną tłumy przyjaciół autora za biletami bezpłatnymi. A wywoływano tak żwawo, iż obok autora stawał często na scenie dekorator, kostyumer, omal że nie lampucer.

Jak stwierdza zresztą praktyka teatralna, nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Jeżeli przypuścimy, iż wywoływanie jest złem — jak twierdzi Lessing, — przyznać musimy, iż pomaga ono publiczności do spotęgowania wrażeń. W teatrach, w których zabroniono aktorom występować na scenę i dziękować za oklaski, publiczność bawi się jakoś gorzej.

A autorowie? Czy mają iść za radą Lessinga, który radzi nie obdzierać tłumów ze złudzeń, chcących, aby autorowie arcydzieł byli bohaterami legendowymi, rosnącymi do rozmiarów bajecznych fantazyi zachwyconych tłumów? Na pytanie to wiele talentów pierwszorzędnych odpowiada twierdząco. Większość znakomitych autorów dramatycznych czuje nieprzezwyciężony wstręt do pierwszych przedstawień, a w chwili kulminacyjnej, w chwili wywoływania, w chwili „stawania pod pręgierzem", jakby się wyraził zgryźliwy Lessing, ucieka z teatru w poszukiwaniu samotności i ciszy.

* **Ilustrowany kalendarz** *Małego światka* na rok 1894 już wyszedł z druku, a że przedstawia się istotnie miluchno i wytwornie, zapewne św. Mikołaj, którego dzień właśnie się zbliża, a który zarówno w niebie jak na ziemi znany jest z dobrego gustu, zrobi sobie znaczny zapas tych kalendarzyków, aby nimi uszczęśliwić dziatwę. Czego bo w tej różowej a ślicznie ilustracyami ozdobionej książeczce nie ma! Są obrazki z życia znakomitych ludzi, kalendarz zwyczajów i obchodów u dawnych Słowian, powiastki, wierszyki, powinszowania, wyborne a bardzo łatwe sztuczki czarodziejskie, dowcipy i bardzo poważnie przedstawiający się „kalendarzyk pomocniczy dla kształcenia w dobrem". Ponieważ św. Mikołaj, jak to również wiadomo, jest gorliwym patryotą, skłoni go więc zapewne do rozrzucania setek kalendarzyka *Małego światka* pod poduszki małych Polaków to, co i nam się w tej książeczce najbardziej spodobało. Oto znajduje się tam spis przypadających na każdy dzień roku rocznic historycznych z dziejów naszych porozbiorowych. Cena kalendarzyka wynosi tylko 36 ct.!

Rozmaitości.

— **Z życia Dupuytrena.** Sławny chirurg francuski, Dupuytren, odznaczał się niezmierną pracowitością. Niewielu ludzi do równywało mu pod tym względem. Codzień, zarówno latem jak zimą, wstawał o godz. 5-ej rano. O godz. 7-ej udawał się do szpitala Hotel Dieu, zkąd wychodził o godz. 11-ej, odbywał wizyty na mieście i następnie powracał do domu, by przyjmować chorych. Pomimo, iż miał zwyczaj obchodzić się z chorymi brutalnie, na pacyentach nie zbywało mu nigdy i konsultacye trwały częstokroć do późnej nocy.

[illegible]wnego dnia konsultacye trwały znów dłużej niż zwykle i Dupuytren, wyczerpany pracą, już chciał odpocząć trochę, gdy ostatni spóźniony gość ukazał się w progu. Był to starzec małego wzrostu, którego wiek trudno byłoby określić. Posiadał drobne rysy twarzy, małe usta, mały orli nos, nogi i ręce, jak i reszta korpusu, odznaczały się miniaturowemi rozmiarami. W jego niebieskich oczach, wyrazie fizyognomii i gestach przebijała jakaś bojaźliwość, spokój i dobroć. Kto spojrzał na tego staruszka, na jego słodkie i dobrotliwe oblicze, ten doznawał wrażenia spokoju i błogości i czuł potrzebę pokochania go. W ręku trzymał zakrzywiony kij i był ubrany czarno. Kłaniając się, starzec odkrył na głowie szeroką tonsurę; był to ksiądz. Dupuytren spojrzał na niego z niechęcią.

— Czego pan żąda? — zapytał ostro.

— Panie doktorze — odrzekł łagodnie kapłan — proszę, pozwól mi najpierw usiąść... Moje nogi podstarzały się trochę... Dwa lata temu dostałem obrzmienia gardła.. Felczer wioskowy, bo ja jestem proboszczem na wsi w pobliżu Nemours, zaręczał mi, iż to minie, ale zło powiększało się... Leżałem długo w łóżku i, nie doznając polepszenia, przybyłem do pana. Pilno mi, gdyż pełnię służbę Bożą dla mieszkańców czterech wsi...

— Pokaż pan gardło — rzekł krótko znakomity chirurg.

Dupuytren zaczął badać chorego. Choroba była tak ciężka, iż lekarz zdziwił się, jakim sposobem chory mógł przybyć do niego o własnych siłach. Po ukończeniu oględzin, w czasie których pacyent nie zadrżał nawet, Dupuytren ujął jego głowę rękami, odwrócił ku sobie, popatrzył uważnie i rzekł stłumionym głosem:

— No, księże proboszczu, z tem trzeba umierać..

Proboszcz nie odpowiedział słowa. Dupuytren przypatrywał się mu bacznie. Tymczasem kapłan wyjął spokojnie z kieszeni pięciofrankówkę i położył ją na kominie.

— Nie jestem bogaty, panie doktorze, a moi ubodzy potrzebują wiele — odezwał się z nieśmiałym uśmiechem. — Przebacz mi pan, jeżeli za konsultacyę z doktorem Dupuytrenem nie płacę lepiej!... Czuję się szczęśliwym, żem pana znalazł.. Będę teraz przynajmniej przygotowanym na wszystko, co mnie czeka. Mam lat 57, a w moim wieku bywa się bardzo przywiązanym do życia. Ale mimo to nie zadziwiłeś mnie pan, bo oddawna co chwila spodziewałem się śmierci. Do widzenia, panie doktorze. Spieszę, aby umrzeć w mojej plebanii.

I odszedł.

Dupuytren siedział zamyślony. Ta dusza żelazna, ten umysł hardy i gwałtowny ugiął się przed słowami biednego starca, którego bladego cierpiącego trzymał niedawno w swych silnych rękach, jakby zabawkę. W tem słabem i cierpiącem ciele biło także serce, a do tego mężniejsze niż jego. Nagle lekarz zerwał się i pobiegł ku wyjściu. Mały proboszcz schodził powoli ze schodów, trzymając się poręczy.

— Księże proboszczu! — zawołał. — Zechciej jeszcze wrócić do mnie na chwilę.

Starzec zatrzymał się.

— Jest jeszcze może jeden sposób ratunku, jeżeli zgodzisz się na operacyę.

— Panie doktorze — zawołał proboszcz, rzucając kapelusz i laskę — właśnie tego tylko pragnę. Rób pan operacyę.

— Ale próba ta może nie przydać się na nic, a będzie długa i bolesna.

— Rób pan operacyę. Muszę ją wytrzymać, a jeżeli się uda, to parafianie moi cieszyć się będą bardzo.

— A więc dobrze, udaj się ksiądz do Hotel Dieu na salę św. Agnieszki. Przez dziś i jutro ksiądz odpocznie, a pojutrze rano...

— A więc to już ułożone, panie doktorze... Do widzenia!

We dwa dni później, zaledwie się uczniowie zebrali w liczbie pięciu do sześciu set, którzy słuchali wykładów mistrza, gdy ukazał się Dupuytren. Skierował się niezwłocznie ku łóżku proboszcza, a za nim podążył tłum słuchaczów. Operacya rozpoczęła się. Czynność ta trwała 25 minut. Przez cały czas stary proboszcz nie wydał jednego jęku i nie zmrużył oczu. I był tylko trochę bledszy niż zwykle. Wtem sławny operator odezwał się: „Wszystko skończone!"

Dupuytren sam zakładał bandaże.

— Sądzę, że wszystko będzie dobrze — rzekł pocieszającym tonem.— Czy ksiądz bardzo cierpiał?

— Starałem się myśleć o czem innem — odparł kapłan i wyczerpany począł drzemać.

Dupuytren chwilę przypatrywał się mu badawczo w milczeniu, następnie zapuścił białe firanki przy łóżku i odbywał dalej wizyty.

Proboszcz został uratowany.

Co dzień rano Dupuytren, wszedłszy do szpitala, wbrew zwyczajowi spieszył do łoża swego ulubieńca i od niego zaczynał wizyty. Później, kiedy chory zaczynał już wstawać i mógł parę kroków przejść po pokoju, Dupuytren po ukończeniu zajęć powracał do niego, brał go pod rękę i obchodzili razem salę dokoła. Dla tych, którzy wiedzieli, z jaką bezwzględnością Dupuytren traktuje chorych, zmiana ta w postępowaniu lekarza była niezrozumiałą.

Gdy stan chorego poprawił się o tyle, iż mógł już puścić się w drogę, stary proboszcz pożegnał serdecznie Siostry miłosierdzia oraz swego lekarza i powrócił do swych owieczek.

Od tego czasu upłynęło kilkanaście miesięcy. Pewnego razu Dupuytren, przybywszy do Hotel Dieu, ujrzał na sali św. Agnieszki czekającego nań proboszcza. Z zapylonego ubrania i prawie białego obuwia można było wnioskować, że kapłan daleką drogę odbył piechotą. W ręku trzymał sporych rozmiarów kosz, powiązany starymi sznurami. Z kosza ukazywały się źdźbła słomy.

Dupuytren przyjął uprzejmie dawnego swego pacyenta, a przekonawszy się, że operacya nie zostawiła po sobie złych następstw, zapytał, co go sprowadziło do Paryża.

— Panie doktorze — odrzekł proboszcz — dziś jest 1 listopada, rocznica dnia, w którym dokonałeś operacyi. Nie mogłem zapomnieć o tym dniu. Postanowiłem odwiedzić pana i przytem złożyć mały podarek. Wybrałem z mego kurnika dwie najpiękniejsze kury... takie, jakich w Paryżu z pewnością nikt nie jada.

Dupuytren uściskał serdecznie księdza proboszcza i zaprosił na obiad, ale starzec wymówił się. Jego czas był policzony. Musiał niebawem wracać do domu.

Przez następne dwa lata zawsze 1 listopada Dupuytren widywał małego staruszka z nieodłącznym koszykiem i nieodłącznemi kurami. Sławny doktor oczekiwał tych odwiedzin zawsze z pewnego rodzaju wzruszeniem. Wówczas już czuł w sobie zaród niebezpiecznej choroby, wobec której nauka była bezsilną. Wyjechał do Włoch, szukając ratunku w ciepłym klimacie, stosownie do orzeczenia wszystkich powag lekarskich Francyi. Po powrocie stan jego zdrowia poprawił się cokolwiek, ale polepszenie to było tylko chwilowe i Dupuytren nie łudził się bynajmniej. Wiedział, że chwile życia są policzone i śmierć zbliża się szybkim krokiem. Znakomity lekarz stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie i posępniejszy niż dawniej. W tych smutnych godzinach, które spędzał w odosobnieniu, stanęło mu w pamięci dawne, wzruszające zdarzenie. Przywołał swego adoptowanego syna, który czuwał w sąsiednim pokoju.

— Pisz — rzekł mu.

„Kochany księże proboszczu!

„Doktór potrzebuje teraz ciebie. Przybywaj prędko, bo może przybędziesz za późno.

„Twój przyjaciel

„Dupuytren".

Starzec pośpieszył na wezwanie niezwłocznie i długi czas bawił w pokoju zamknięty z Dupuytrenem. O czem rozmawiali — pozostało tajemnicą, ale, gdy kapłan opuszczał łoże umierającego, miał oczy zwilżone łzami, a na jego obliczu malowało się głębokie wzruszenie.

Dupuytren zmarł. Było to w dniu 1 listopada...

W dzień pogrzebu niebo od rana powlokło się ciężkiemi, szaremi chmurami. Deszcz rzęsisty, pomięszany ze śniegiem, moczył liczne tłumy zebrane na smutny obrzęd na placu Saint-Germain-l'Auxerrois i obszernem podwórzu w domu zmarłego. W kościele św. Eustachego zaledwie mogli pomieścić się pobożni. Po Mszy żałobnej uczniowie na ramionach odnieśli zwłoki mistrza do miejsca wiecznego spoczynku.

W orszaku żałobnym postępował, płacząc, mały stary proboszcz...

Głosy publiczności.

Kochawina. Dalsze ofiary na kościół N. M. P od 14 marca do 1 sierpnia:

M. W. S z Bucza za błagając M. N. o zdrowie dla matki 4, L Sałolewicz z Niemirowa na podziękowanie za otrzymane dobrodziejstwa 2, H. F. z Kocowa z prośbą o zdrowie i o opiekę 2, Wanda H. z prośbą N. P. o opiekę nad rodziną 2, Bolesław Balzer ze Stanisławowa 2, Antonina Jabłońska ze Lwowa 1, Katarzyna Urban 1, Świderski ze Lwowa o spełnienie życzeń 1 i na mszę św., W. P. z Rymanowa za doznane dobrodziejstwa 1. W. B. z Kołtowa 3, Zefiryna Jabłonowska ze Stanisławowa z prośbą o pocieszenie 8 i na mszę św., Wł. z Przemyślan dzięk. M. B. za przyjście do zdrowia 1, Karol Splarewicz w Czepowcach dziękując za uzdrowienie 2 synków 5, Niedzielska ze Lwowa na podziękowanie za uzdrowienie 3 i na mszę św., Anna Filipczak ze Lwowa o zdrowie 2 i na mszę św., Berezowski z Żydaczowa 2 i na mszę św, S. M. ze Stanisławowa o przemienienie złego na dobre 1, M. Czaplicka dziękując za zdrowie 1, Wanda Jaworczykowska z Kamionki o uratowanie brata z ciężkiej choroby 1 i na mszę św., Paulina M. ze Lwowa za doznane ulgi 1, Stanisław ks. Jabłonowski z Bursztyna dziękując z głębi serca N. P. K. ze wielką łaskę 50, A. W. z Hadyńkowiec z prośbą o zdrowie 2 i na mszę św., W. L. 3, Henryka Tarczyńska z Przemyśla o uzdrowienie 1 i na m. św., J. S ze Zaleszczyk o spełnienie życzeń 2, Gilewicz za doznane łaski 2 i na mszę św., W. W. z Ch. proszą o opiekę i błogosławieństwo M. B. 10, Marya Łukasiewiczowa z Jasła o uzdrowienie ciężko chorego zięcia 8, Helena Ł. z Jasła za cudowne uzdrowienie ukochanej osoby 2, Stanisław hr. Rey z Psar dzięk. M. B. za otrzymaną łaskę 50, Karolina Breyer z Tarnowa dziękując M. B. za uzdrowienie dziecka 5, K. S. ze Sanoka o wysłuchanie prośby 1·50, J. B. z Brzeżan o wysłuchanie prośby 1, Rafał i Malwina o zdrowie i błog. 2, Adela J. o błog. dla synów 1, Antonina R. o zdrowie dla dzieci i męża 1, Antoni Strzelbicki z Kołomyi dzięk. M. B. za odebrane dobrodziejstwo 2, Sydonia Pieńczykowska ze Strychalec 2, Jadwiga Skopowska z Węgier za zdrowie ojca 3 i na mszę św.. N. N. z Okna jako wotum poduszkę, M. T. ze Stanisławowa dziękując za doznane łaski 5, M. B. o zdrowie dla rodziny 2, T. K. z Chodorowa, dziękując za znalezioną zgubę 1, S. S z Mielnicy o pociechę 1 i na m. ś.

Ks. Jan Trzopiński,
administrator, p. Żydaczów.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 grudnia.

(Z) Zagraniczne targi spokojnie oceniają przebieg przesilenia finansowego we Włoszech i nie wątpią, że instytutowi tak poważnemu i pożytecznemu jak Credito Mobiliare ani krajowe ani zagraniczne firmy upaść nie dadzą. Z tego powodu panowała dziś w Berlinie i Paryżu pokaźna hausa w niektórych walorach włoskich, zwłaszcza w kolejowych, które o kilka procent podskoczyły w cenie. Także renty włoskie były dziś wszędzie na pierwszym planie. Na naszym targu była dziś tendencya bardzo dobra, obrotów robiono wiele zwłaszcza w walorach kolejowych i przemysłowych, a tendencya zwyżkowa przeważała na całej linii. Monety złote potaniały znów o $^{1}/_{4}\%$

Ostatnie notowania:

Kredytky austr. 343·—, węgierskie 418·25, Anglobank 151·75, Unionbank 255·25, Bankverein 123·75, Länderbank 252·50, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 262·—. Elbethale 241·—, Renta papierowa 97·65, srebrna 97·25. austryacka złota 117·75 4% austr. renta wal. kor. 96·60, węgierska złota 116·20 4% węgierska renta wal. kor. 94·10, dukat 5·88, 20-frankówka 9·92—. marki 12·25, ruble 1·31$^{1}/_{4}$

Telegramy „Przeglądu".

Belgrad 4 grudnia. Prezes gabinetu Dokicz skutkiem choroby podał się ponownie do dymisyi, a wraz z nim wszyscy inni członkowie gabinetu. Król przyjął dymisyę. Powszechnie przypuszczają, że jenerał Gruicz otrzyma misyę utworzenia nowego gabinetu. Skupczynę odroczono. Król konferował wczoraj z obu wiceprezydentami skupczyny Katiczem i Wukowiczem, tudzież z Garaszaninem.

Rzym 4 grudnia. Gabinet nowy ukonstytuować się ma w następujący sposób: Zanardelli obejmie prezydyum, jenerał Baratieri tekę spraw zagranicznych, Fortis roboty publiczne, San Marzano wojnę, Racchia marynarkę, Cocco-Ortu rolnictwo, Derisels poczty i telegrafy, Gallo oświatę, Boselli finanse, Vacchelli kanclerstwo skarbu, a Cannonico prawdopodobnie tekę sprawiedliwości.

Parlament zebrać się ma 7 grudnia.

Paryż 4 grudnia. Nowy gabinet odczyta dziś w parlamencie deklaracyę programową, w której oświadczy się przeciw rewizyi konstytucyi, przeciwko nowemu projektowi podatku dochodowego i przeciw rozdziałowi Kościoła od państwa. Rząd iść będzie naprzód w kierunku demokratycznym, a zwalczać będzie socyalistyczne utopie. W końcu wspomni gabinet w swej deklaracyi, że starać się będzie o utrzymanie pokoju i przyjacielskich stosunków z mocarstwami zagranicznemi.

Paryż 4 grudnia. Serbski poseł Gjorgeniu, raniony przed kilku tygodniami w restauracyi, ma się już całkiem dobrze i dziś wstał z łóżka.

Saragossa 4 grudnia. Uwięziono tu wczoraj sześciu anarchistów. Jeden z nich brał udział w podrzuceniu bomb w operze w Barcelonie.

Rzym 4 grudnia. Trzydziestu deputowanych ze skrajnej lewicy, w ich liczbie Cavallotti, Colajanni i Imbriani wystosowali manifest do narodu, w który potępiają całą działalność gabinetu Giolittiego. Jako środki zaradcze wyliczają autorowie manifestu: zmniejszenie liczby tek ministeryalnych, przywrócenie równowagi w budżecie przez oszczędności w wydatkach na wojsko, okrojenie listy cywilnej króla. Nadto oświadczają się autorowie manifestu przeciwko wszelkiemu nowemu podatkowi, albo też podwyższeniu już istniejących podatków i żądają takiej polityki zagranicznej, któraby odpowiadała uczuciom ludności, tudzież narodowym i ekonomicznym interesom kraju.

Przyjechali do Lwowa
dnia 4 grudnia 1893.

HOTEL ŻORZA. Hr. A. Konarska z Dobiecka. Z Cielecka z Byczkowiec L. Garapichowa z Cebrowa. L. Giżycki z Podola ros. Hr. St. Dzieduszycki z Gwoździca. W. Biechoński z Gorlic. W. Stojowski z Bucza za. F. Nowak z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI. S. Skarzyński ze Studzianki. F. Jaruntowski z Twierdzy. Z. Suszycki z Wierza. Dr. J. Mayer z Medenic. T. Stępowski z Podola. C. Reich z Wiednia. J. Klinger i C. Hamme z Wiednia. J. Fink i L. Lichtwitz z Wiednia. L. Majewski ze Stanisławowa. M. Germann z Wiednia. M. Margolius z Berlina. Stan. Czekanowski z Dorpatu.

HOTEL EUROPEJSKI. A. Lorenzoni z Wiednia. W. Kutiers z Rzeszowa. D. Korkus z Wiednia. F. Kreutz z Krakowa W. Mianowski z Drohobycza. F. Fleszar z Łańcuta. W. Mikuli z Suczawy. O. Bujwid z Krakowa. K. Krasucki ze Skurcza. Z. Grabowski z Chrzanowa. J. Schapira z Czerniowiec. Br. Z. Reiski z Hermanstadtu. M. Lewandowski z Reklińca J. Pressen z Milatyna.

HOTEL VICTORIA. Hr. T. Dzieduszycki z Zaleszczyk H. Gadiński z Wygody. E. Pauli z Lubeszka. B. Ropij z Suchodoła. J. Walentin z Wiednia. N. Korngut z Wiednia. G. Koch z Wiednia. T. Sendler ze Szczucina

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za sobie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 4 grudnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. a. 260·50 do 263·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 380·— do 390·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·70 do 101·40. 5% z 10%. prem. 109·70 do 110·40, 4$^{1}/_{2}$% los. w 50 lat. 99·90 do 100·60. Banku krajowego 4$^{1}/_{2}$% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·30 do 99·—. 4% los. w 41$^{1}/_{2}$ lat. 98.— do 98·70, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. 4$^{1}/_{2}$% los. w 52 lat. 99·80 do 100.50.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·50 do 97·20. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·70 do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·20 do —·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4$^{1}/_{2}$% 99·80 do 100·50 4% z roku 1891 95·80 do 96·50 4% z roku 1893 96·— do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·83 do 5·93· Napoleondor 9·88 do 9·98. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30·— do 1.32·—, 100 marek niemieckich 60·80 do 61·50.

31)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ

przez

JULJUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

— Teraz usilniej niż kiedykolwiek ponawiam mą propozycyę. Niech pani jedzie do Francyi. Wezwiemy najlepszych lekarzy i wyleczymy ją. Teraz wyjazd nasz zależny tylko od pani. Teraz, choćby tylko przez wzgląd na nią, powinna się pani zgodzić. Cóż pani tu będzie robiła z tą biedną dziewczyną? Któż będzie ją pielęgnował, gdy pani będzie na robocie? W tych górach może jej grozić tysiące niebezpieczeństw. Pani nie możesz opuszczać jej ani na chwilę, a w takim razie z czego będziecie żyły?

Klara słuchając go, płakała.

— Wiem, że mówiąc to — ciągnął dalej — sprawiam pani przykrość i przepraszam za nią. Ale pani nie wie, jak gorąco pragnę, by pani zgodziła się na mą prośbę. Mówiłem pani, że ojciec mój uważa was za swe córki, a ja za siostry. Wniesiecie panie radość do naszego domu i ojca mego, tak zawsze smutnego, uczynicie szczęśliwym...

— Radość? — odrzekła. — Czyż to rzecz możliwa teraz?

— Gdyby Dyana odzyskała rozum, zgodziłaby się chętnie, gdyż jedynym powodem jej odmowy była tylko miłość dla Stefana. Ale po jego śmierci, cóż może ją tu zatrzymywać?

— Jest jeden powód.

— Jaki?

— Zemsta!

— Czy zna zabójcę?

— Nazwisko jego dla nikogo nie jest tajemnicą — odrzekła Klara pochmurnie — jakkolwiek brat nasz zapewniał naszych przyjaciół, że nie on dopuścił się tej zbrodni. I gdy trup Stefana z przebitem czołem przyniesiony został do wsi, Dyana spostrzegłszy go, głośno wymieniła nazwisko zabójcy. „To Antonio go zabił“ zawołała.

— Więc gdyby nie straciła zmysłów, pragnęłaby zemścić się na własnym bracie?

— Zapewne.

— Jakto? nowe zabójstwo! Ależ to okropne!

— Prosiłaby Boga, by natchnął ją innym środkiem ukarania go. I Bóg wysłuchałby jej, ponieważ prosiłaby tylko o sprawiedliwość.

— Jest to jeden więcej powód, by ją oddalić z tych miejsc.

— Gdy odzyska zmysły, przypomni sobie.

— Niech pani się zgodzi, błagam panią..

Młoda dziewczyna zawahała się.

— Niech pan poczeka — rzekła nareszcie.

Odeszła do siostry, uklękła przed nią i ujęła jej ręce.

— Dyano, siostro ukochana, czy słyszysz mię? Nadeszła chwila, w której musimy powziąć ważne postanowienie... Słuchaj mię... odpowiedz mi...

Błędny wzrok dziewczyny przechodził z Klary na Filipa, ale usta pozostały niememi.

— Dyano! Dyano! Siostro moja droga!

Obłąkana powstała.

— Słyszę głos wzywającego mię Stefana. Mówi on mi: „Chcę cię widzieć raz ostatni, wyjdź na ścieżkę.“ Ja nie chciałam. A jednak poszłam. Z tego powodu zabito mi go. A ten kto go zabił... Kto go zabił?... — rzekła i usiadła.

— Widzi pani — nalegał Filip — ona jest obłąkaną, nie ma swej woli. Niech pani postanawia za siebie i za nią.

— Pojadę z panem — oświadczyła nareszcie, podając mu rękę.

V.

Zaniepokojone serce.

Młode dziewczyny były tak ubogie, że przygotowania do podróży nie trwały długo, dlatego też czwartego już dnia, powóz zaprzężony w parę dzielnych koni, unosił obie siostry do pałacu Castelbouo.

Przez cały czas podróży Dyana była bardzo spokojną; zdawała się nie wiedzieć, że opuszcza wyspę, gdzie pod cieniem wielkiego cisu spoczywał człowiek zabity z jej powodu; nie zdziwiła się, gdy wywożono ją z Zicavo, gdy wsadzono ją do wagonu kolei żelaznej, gdy znalazła się na parostatku i gdy wysiadła na ląd w Marsylii. Obłąkani mają to wspólnego z filozofami, że nie dziwią się niczemu.

Była spokojną, zajętą jedyną swą myślą, milczącą. Klara i Filip otaczali ją nieustanną troskliwością i nie opuszczali jej.

Młody człowiek uprzedził ojca o nieszczęściu Dyany.

Powóz zatrzymał się przed bramą pałacową, tuż u brzegu rzeki Tarn.

W jednem z okien, wychodzących na drogę, Jan Bartoli od kilku już godzin wyczekiwał swych gości. Dnia tego cała młodość jego odżyła mu w oczach. Dzieci Maryi czyż nie były dla niego prawie samą Maryą? Jakże on je będzie kochał, jak jego serce zawsze młode i gorące, rozgrzeje się na widok tych obrazów tej, która już nie istniała!

Pewien tylko smutek mącił jego szczęście. Filip zawiadomił go również i o tem co zaszło pomiędzy nim a Antonio. Po zabójstwie, w obec nienawiści, jaka nagle wybuchła pomiędzy obu młodymi ludźmi, nie można nawet myśleć o ściągnięciu Antonia i wspólnem pożyciu rodzinem. Gdyby i przybył kiedy, znoszonoby, lecz nie zatrzymywanoby go wcale.

Bartoli, stojąc w oknie i spoglądając na drogę, którą miały nadjechać Dyanna i Klara, przywodził na pamięć wspomnienia swej młodości i przypomniał sobie wróżby swej matki.

„Jakkolwiek Marya jest piękną, dobrą i szlachetną, stanie się jednak dla ciebie powodem wielkich nieszczęść. Strzeż się jej!“

Nie wierzył jej, uśmiechnął się sceptycznie i tę wizyę przyszłości, policzył na karb zabobonów. A jednak stara Cecylia nie myliła się.

Innym razem powiedziała, a słowa jej nadały wówczas jej konaniu dziwnie tajemniczą powagę głosu z po za grobu:

„Antonio przyniesie ci nieszczęście. Strzeż się syna Maryi, jak powinieneś był strzedz się matki“.

Na ten raz nie uśmiechnął się. Czyżby matka jego powiedziała prawdę? Antonio i Filip nienawidzili się! Czyżby to było początkiem nieszczęścia, o którem mówiła wróżba umierającej matki?

Usiłował otrząsnąć się ze smutku. Dla czego już obecnie przerażać się katastrofami, które, być może, nie nastąpią?

W tej chwili, nad brzegiem rzeki, dostrzegł powóz. Serce jego uderzyło silniej. Pospiesznie zeszedł ku rzece.

Pierwszy Filip wyskoczył z powozu, za nim wysiadła Klara, trzymając Dyanę za rękę. Bartoli tak samo widział je razem trzymające się za ręce po raz pierwszy w Mende, gdy następnego dnia po śmierci Jerzego przyprowadzony był przed oblicze Maryi, otoczonej dziećmi.

Jak gdyby ogłuszony tak strasznem wspomnieniem, Bartoli spoglądał na siostry w milczeniu. One stały tuż przed nim, a on nawet nie myślał ich powitać.

— Proszę ojca — odezwał się Filip zdziwiony.

Bartoli nie słyszał. Serce jego uderzało boleśnie, cierpiał, dławiły go łkania. I nie na Dyanę spoglądał szeroko roztwartemi oczyma, jak gdyby przestraszony niespodziewanem zjawiskiem, ale na Klarę, która w umyśle jego wskrzesiła obraz dwudziestoletniej Maryi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski** — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej — Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.